Rok II. Nr. 1.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO à PAULO.

Styczeń.

KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład XX. Misyonarzy.
1896.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata roczna wynosi z przesyłką 2 fl. (4 m.)

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO à PAULO.

2

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO à PAULO.

Rok II.

KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład XX. Misyonarzy.
1896.

4

KRAKÓW. — DRUKIEM W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Świątobliwa Ludwika de Marillac.

Życie i sprawa jej beatyfikacyi.

Ludwika de Marillac urodziła się 12 sierpnia 1591 w Paryżu. Ojciec jej Ludwik był właścicielem dóbr Ferrieres, matkę Małgorzatę z domu Camus w młodziutkim już wieku utraciła. Ojciec całą duszą ukochał swoją małą jedynaczkę i wiele starania przykładał, aby ją jak najlepiej wychować. Oddał ją najpierw na pensyą do klasztoru w Poissy, później powierzył ją poważnej i pobożnej nauczycielce prywatnej w Paryżu. Wychowanie ma staranne i prawdziwie pańskie; wykształcenie wszechstronne. Z zamiłowaniem przykłada się do malarstwa, a bardzo poważnie zajmuje się filozofią. Ojciec później żywe prowadzi dyskusye o najważniejszych kwestyach filozoficznych z tą młodą filozofką. Usposobiona do poważnego myślenia wcześniej już zastanawia się nad swojem powołaniem, chce wstąpić do klasztoru kapucynek, ale O. Honorat de Champigny kapucyn odwodzi ją od tego zamiaru, tłómacząc jej, że za ciężkie takie życie na jej słabe i delikatne siły. Wtem umiera ojciec. Młoda dziedziczka musi się zająć całem gospodarstwem. Po takiem obrocie rzeczy widzi wolę Bożą w tem, aby pójść za mąż. W lutym też 1612 oddaje swą rękę Antoniemu le Gras sekretarzowi królowej Maryi de Medicis. Familia

jej męża odznaczała się zawsze szczególniejszą pobożnością, cnotę zaś miłosierdzia chrześciańskiego uważała za swój klejnot familijny. Szpital w mieście Puy ich hojnością został ufundowany. Antoni nie odrodził się wcale od swych przodków; pobożność a szczególniej miłosierdzie chrześciańskie uszlachetniały coraz bardziej piękną jego duszę. Złączone więc teraz te dwie piękne dusze zapalają się coraz więcej miłością Boga i bliźniego — i zachęcają się do coraz większych czynów miłosierdzia. Młoda pani le Gras odwiedza chorych, własną ręką podaje im posiłek, ściele ich łóżka, najlichsze im oddaje posługi, a przedewszystkiem przygotowuje do św. Sakramentów tak po domach prywatnych jak i w szpitalach. Ale miłość nigdy nie da się ograniczyć, lecz rozpala wokoło wszystko. Tak też i miłość Świątobliwej Ludwiki. Zachętą i przykładem swoim pociągnęła za sobą wiele innych pań, które ją w jej dziełach miłosierdzia naśladowały. Wtedy to już, jak później mówiła, powstała w niej myśl założenia jakiegoś zgromadzenia, któreby zajęło się chorymi po szpitalach. Tę miłość jej ku bliźnim wznieca miłość Boża, którą pielęgnowała w sobie troskliwie i rozumnie. Biskup z Belley Jan Piotr Camus był jej przewodnikiem duchownym i bardzo roztropnie umiał zachęcać, lub też zbytni zapał miarkować. Kiedy Ludwika zbyt często idzie za popędem swego serca i zamyka się w klasztorze Kapucynek na rekollekcye, on napomina, że „należy ich używać jak miodu rzadko i trzeźwo. Masz bowiem ku nim, pisze jej, jakąś chciwość duchowną, którą trzeba miarkować!“ Kocha się w czytaniu książek duchownych, a szczególniej czyta Naśladowanie Chrystusa, Walkę duchowną, Dzieła św. Franciszka Sal. i Ludwika z Grenady, biskup zaś każe jej nadto czytywać Pismo św. Umartwienia nad-

zwyczajne i skromność w ubiorze uzupełniały pięknie jej pracę nad rozniecaniem w sobie ognia miłości Bożej. Ale przy tem wszystkiem „jeśli kto o swych a najwięcej o domowych pieczy nie ma, zaprzał się wiary i jest gorszy niźli niewierny“ (I Tim. V. 8). Pamiętała o tem zdaniu Apostoła, to też z całą troskliwością starała się o wychowanie syna; na domownikach tak zbawienny wpływ wzniecały jej przykłady i nauki, że dwóch podwładnych jej męża wyłącznie pod wpływem świętości swojej pani świat opuściło i poszło do klasztoru, a najwięcej podziwienia godna była jej cierpliwa troskliwość o męża. 4 lata przed śmiercią ciągle prawie chorował, a w tak długiej chorobie popadł w jakiś stan zniecierpliwienia i złego humoru. Pielęgnując go świątobliwa Ludwika przez cały ten czas sama jak najgorliwiej, przeszła szkołę umiejętnego a pełnego słodyczy opiekowania się chorymi.

Wyrabiała się coraz więcej ta piękna dusza i coraz bardziej się usposobiała, aby się wyłącznie i całkowicie oddać Bogu. Już w 1723 w dzień św. Moniki zrobiła ślub wdowieństwa w razie śmierci męża. Szatan, który w swojej zazdrości nie mógł spokojnie na to patrzyć i z całą gwałtownością uderzył na świątobliwą Ludwikę, przyczynił się owszem swymi pokusami do tym większej jej doskonałości. Uderzył na nią gwałtownie, chcąc ją popchnąć do skrupułów, wiedząc, że najczęściej dusza tym stanem chorobliwym zmęczona i zniechęcona porzuca całą pobożność. Podszepty złe i wątpliwości w wierze, jakieś gwałtowne chylenie się do wątpienia w istnienie Boga i nieśmiertelności duszy dręczyły tę piękną duszę. Przewodnik duchowny pokrzepia i radzi mądrze, a szatan się sili coraz to bardziej. Najgwałtowniejsze wysiłki tych po-

kus były między Wniebowstąpieniem Pańskiem a Zesłaniem Ducha św. r. 1625. Tymczasem coraz cięższa choroba męża coraz więcej kładzie krzyżyków na jej znękane ramiona. I ślicznie już zajaśniała ta złota dusza w tej próbie gwałtownego ognia, to też już niebieski Mistrz wyjął ją z niego, aby blaskiem swym na chwałę Jemu świeciła.

Duch św. zstąpiwszy swą łaską w uroczystość Zielonych Świąt do tej duszy, rozproszył wszystkie ciemności i uspokoił burzę. Dnia 21 grudnia tegoż roku 1625, po długich cierpieniach umiera ukochany mąż Ludwiki, a ona w kilka godzin po jego zgonie poszedłszy do kościoła, po spowiedzi i Komunii św. ponowiła ślub swój z 4 maja 1623 i poświęciła się Oblubieńcowi niebieskiemu całkowicie na służbę.

Potęguje się teraz jej gorliwość postępowania na drodze pobożności. Biskup z Belley nie mogąc jej zawsze zdala służyć radą, oddaje przewodnictwo jej św. Wincentemu, który właśnie od roku 1625 zaczyna życie wspólne z zawiązującem się zgromadzeniem w domu *des Bons Enfants*. Świątobliwa Ludwika, aby być bliżej przewodnika swego, zamieszkuje w parafii św. Mikołaja, w pobliżu nowego Zgromadzenia; chciała zaraz poświęcić się wyłącznie uczynkom miłosierdzia, a mianowicie usłudze chorych, ale roztropny przewodnik nie zezwala na to, tylko próbuje jej gorliwość i każe jej przebyć rodzaj nowicyatu. Radzi częstsze rekollekcye, częstą komunię św. i gorącą modlitwę. W roku dopiero 1629 pozwala jej zacząć wielkie jej dzieła miłosierdzia. Św. Wincenty zakładał w czasie misyi bractwa miłosierdzia po wsiach, a pierwszym było bractwo w Chatillon założone 1617, w roku zaś 1629 było już w Paryżu.

Otóż te bractwa po wsiach zwiedzać polecił te-

raz Ludwice. Daje jej wskazówki potrzebne, naznacza porządek tych wizyt, a przed zaczęciem każdej poleca komunię św. Pierwsza taka wyprawa Ludwiki była do Montmirel w dyecezyi Soissons. W towarzystwie kilku pań, podobnych jej duchem, zabrawszy zapasy bielizny i lekarstw, odbywa tę ciężką drogę wozem — wszystko na swój koszt.

Przybywszy na miejsce, zbiera kobiety należące do bractwa, w konferencyi zachęca do gorliwości, uczy jak się z chorymi obchodzić, sama potem odwiedza nieszczęśliwych, opatruje, pokrzepia i poucza. Dalej zbiera wiejskie dziewczęta i uczy je katechizmu. Wróciwszy na zimę do Paryża, zgromadza panie, zachęca do miłosierdzia i zajęcia się chorymi, a na lato 1630 roku wyprawia się do Villepreux. Bractwo to drugie z rzędu założone zostało przez św. Wincentego 1618 roku. Tutaj proboszcz nie pozwala jej rozwinąć działalności i przeszkadza; św. Wincenty każe Ludwice ustąpić „bo więcej chwały będzie miał Bóg z jej uległości, jak z tego, coby zrobiła. Więcej znaczy piękny dyament, jak cała góra kamieni". I tak zawsze później siostrom polecał. Proboszcz zbudowany uległością świątobliwej Ludwiki, ustąpił i pozwolił jej działać. Jak bieg rzeki, który usiłują powstrzymać, gwałtowniej się wyrywa, tak i jej gorliwość w tej parafii. Pracowała tak, że siły swe stargała i nigdy już ich zupełnie nie naprawiła.

Zapał jej wzrasta coraz bardziej, gorliwość jej wysila się niejako, aby nie dać się wyprzedzić wielkiemu św. Wincentemu; zdaje się jakby w jednym roku spalić się chciała Bogu na całopalną ofiarę. A dziwna rzecz, że Święty jej w tym jakby zapomnieniu się nie powstrzymuje, ale tylko przypomina nieustannie, żeby ufać, a Bóg siły pokrzepi i podtrzyma. En-

tuzyazm ludu dla tej świątobliwej matki i opiekunki rośnie coraz bardziej, tłumy ludu z błogosławieństwem otaczają jej pojazd kiedy wyjeżdża ze wsi, dzieci biegną za nią daleko i cisną się do jej wozu tak, że aż jeden wpadł pod koła i trzeba było modlitwy świątobliwej ich opiekunki, aby go z rąk śmierci wyrwała. Kobiety po wsiach zachęcone jej przykładem, i pouczone przez nią jak się z chorymi obchodzić, same nieszczęśliwych doglądały i obsługiwały, ale w Paryżu panie dostarczały chętnie środków materyalnych, czasem i same posługę jakąś oddały, zwykle jednak zastępowały się sługami.

Dostrzegł odrazu św. Wincenty, a z nim i Ludwika, że niema w takiej usłudze potrzebnej miłości, brak serca i dostatecznej umiejętności. Takie sługi trzeba było przejąć miłością bliźniego i pouczyć je jak się obchodzić z chorymi, a całe działanie miłosierdzia zjednoczyć i pokierować. Otóż św. Wincenty kilka ochotniczek na takie sługi chorych zebrał w mieszkaniu świątobliwej Ludwiki i jej oddał w opiekę i naukę. Dnia 29 listopada 1633 roku zaczęły życie wspólne pod jej przewodnictwem i stanowią początek Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia. Całą gorącością swej duszy oddaje się świątobliwa Ludwika temu nowemu obowiązkowi; na Zwiastowanie Matki Boskiej następnego roku ponawia swój ślub, zobowiązuje się w tem wytrwać, a co miesiąc przez Komunię św. dziękuje Bogu za łaskę, że powołał ją do służby swojej w ten sposób. Kiedy w następnym roku konferencya Pań Miłosierdzia postanowiła się zająć szpitalem *l'Hôtel Dieu,* ona już daje tam wyćwiczone swoje siostry; panie zajmują się chorymi po domach, jej siostry im pomagają. Dom dotychczasowy za małym się okazuje dla pomieszczenia sióstr, najmuje więc inny pod Pa-

ryżem w La Chapelle, dokąd się przeniosła w maju 1636. Tu właściwie się rozwija i organizuje jej Zgromadzenie. Katechizmy niedzielne dla kobiet i dziewcząt, ochrona dla dzieci, zakład sierót, rekollekcye dla pań prywatne tutaj powstają. W roku 1638 otwiera dom dla podrzutków; ale przyjmuje z początku tylko dwanaście. W następnym roku obejmuje wraz ze swemi siostrami opiekę nad galernikami i więźniami. W tymże roku w grudniu śle swe siostry do szpitala w Angers, gdzie wkrótce wybucha zaraza, a siostry po bohatersku się poświęcają.

A kiedy jeszcze była ze swemi siostrami w drodze do Angers, św. Wincenty donosi jej uradowany, że panie z konferencyi podjęły się opiekować wszystkimi podrzutkami, powiększy się więc dom tych nieszczęśliwych sierót. Wkrótce zrobiło się już za ciasno i w La Chapelle, a że i do św. Wincentego z tamtąd daleko, więc najmuje najpierw, a potem kupuje świątobliwa Ludwika dom na przedmieściu św. Łazarza w 1641. I dopiero tutaj zamieszkała ona stale ze swymi Siostrami. Zorganizowała też zaraz Seminaryum dla przyszłych Córek Miłosierdzia. Rozszerza się teraz Zgromadzenie coraz bardziej. W roku 1646 wiezie Ludwika 8 Sióstr do szpitala w Nantes, a już w drodze odbiera od św. Wincentego wiadomość, że królowa żąda ich do Fontainebleau. W roku 1647 dostaje od królowej zamek Bicêtre dla podrzutków. W roku 1649 kiedy straszną nędzę spowodowały wojny domowe, Siostry wspierają ubogich hojnie, a ich przełożona tak rozdaje, że zostawiła w kasie tylko 2 pistole. Wszystka nędza w czasie zamieszek i wojny ciśnie się do Paryża, a pomocy wygląda wszystko przez Siostry Miłosierdzia od świątobliwej Ludwiki, która też w różnych punktach miasta przez 6 miesięcy żywi 14,000 ubogich.

W Polsce podobnaż nędza czeka na jej miłosierdzie, to też wysyła w roku 1656 trzy siostry do Warszawy. W roku 1655 podejmuje opiekę w szpitalu obłąkanych w Paryżu. I to wszystko robi wdowa ze skołatanymi siłami, a niewielkiemi zasobami. Ale zapał i ufność w Bogu św. Wincentego, udziela się i tej jego współzawodniczce. Pamiętajmy jeszcze nadto, że stoi ona na czele Zgromadzenia i mistrzynią jest nowicyuszek, które uczy czytać, pisać, chorych pielęgnować, medytacyę odprawiać, Boga coraz lepiej przez naukę katechizmu poznawać, a w konferencyach co tydzień zapał w nich do czynów miłosierdzia obudza. Przy tem wszystkiem dziwnie cierpliwa, gniewać się nie umie, słucha skarg choćby najnudniejszych, zachęca, sił dodaje i ogień swej miłości we wszystkich przelewa, a przedewszystkiem zaś poleca miłość wzajemną. Starczy jej przy tem energii, aby skutecznie czuwać nad zachowaniem reguł i utrzymaniem posłuszeństwa. Na to wszystko razem Święci tylko mają siły dostateczne.

Kiedy wreszcie w roku 1655 Kardynał Retz wyniósł jej Zgromadzenie do rzędu stowarzyszeń duchownych pod nazwą „Sług ubogich“, a pod zwierzchnictwem przełożonego XX. Misyonarzy, spełniła już dzieło swoje. Chorobie też teraz Bóg pozwolił pokonać jej ciało. W roku 1656 zapadła ciężko i już się na śmierć ostatecznie przygotowała. Powstała jednak na czas krótki z łoża boleści, aż w lutym roku 1660 choroba na nowo się wysiliła, by ją zwyciężyć. Febra gwałtowna i ból w ramieniu powiększały się coraz bardziej. Kiedy jednak wszystkie siostry rzuciły się do modlitwy i świętymi ją otoczyły relikwiami, na krótki czas nastało małe polepszenie, ale tylko do 9 marca. Zapadła znów bardziej, a nie miała nawet tej pociechy,

której najwięcej pragnęła t. j. pociechy i pokrzepienia z ust św. Wincentego. Był on również chory i przybyć do niej nie mógł; powiedzieć jej tylko kazał, że ona go nie wiele w przeprawie do nieba uprzedza. Panie otoczyły ją troskliwą opieką, niektóre noce przy niej przepędzały. 15 marca wreszcie o godzinie $11^1/_2$ przed południem, zakończyła tak cudownie czynny swój żywot, a proboszcz od św. Wawrzyńca X. Gobillon, który słuchał jej spowiedzi z całego życia nie mógł się powstrzymać, by ledwie oddała Bogu ducha nie zawołać: „O śliczna to dusza, co zatrzymała do końca łaskę na chrzcie św. otrzymaną“.

Pochowano ją w kościele św. Wawrzyńca w kaplicy Nawiedzenia Matki Boskiej ubogo, bo tak żądała. Z grobu jej zaraz po śmierci wydobywała się miła woń lilii i fiołków, a proboszcz kościoła dołożywszy wszystkich starań, aby się przekonać, czy to nie jest z jakiej przyczyny naturalnej, uważał razem z innymi, iż to jest nadprzyrodzona woń jej wielkiej świętości.

Cuda, które później Bóg za jej pośrednictwem zdziałał to samo chyba potwierdzają. Nic też dziwnego że przenieść nie mogły Siostry Miłosierdzia i familia, a szczególniej Michał le Gras, aby ciało tej Świętej w ubogiej, drewnianej spoczywało trumnie. Za pozwoleniem biskupim 10 kwietnia 1680 roku przełożono je więc do trumny metalowej. W 1755 zaś roku 24 listopada przeniesiono je do domu Sióstr Miłosierdzia na przedmieściu św. Łazarza. W czasie rewolucyi dom ten przez rząd został sprzedany, od nabywcy domu wydostano jednak szczęśliwie drogie szczątki. Trzykrotnie je przenoszono do prywatnych domów, aż wreszcie już po rewolucyi w 1815, 29 czerwca, umieszczono je w kaplicy domu Sióstr na ulicy du Bac, gdzie dotąd spoczywają.

Sprawy jednak kanonizacyi jej nie podejmowano długo. Bo też trudności w tej sprawie są do przezwyciężenia wielkie. Pisząc już o sprawie beatyfikacyi Świątobliwego Cleta wspominaliśmy o tem, a wyznawcom trudniej jeszcze wyrok nieomylny Kościoła św. uzyskać jak męczennikom. Żywiej zajęto się sprawą beatyfikacyi Ludwiki Marillac dopiero w r. 1886. Najpierw rozpoczął się proces informacyjny w dyecezyi paryskiej, który trwał bardzo długo. Trybunał pod przewodnictwem kardynała Guiberta, arcybiskupa paryskiego, zaczął rozpatrywać tę sprawę 2 kwietnia 1886. Wysłuchano zeznań 35 co do świętości i cudów Ludwiki. Kopie protokółów obrad tego trybunału przygotowane dla kongregacyi rzymskiej wynoszą 1200 stron in folio. Przez 15 sesyi 2 notaryuszów kościelnych w obec całego trybunału porównywało te kopie z oryginałami. Pod przewodnictwem wreszcie kardynała Richard'a, następcy kardynała Guibert'a, zakończył trybunał swą pracę 18 grudnia 1890, odbywszy przez 4 lata 105 sesyi. Akta zebrane i opieczętowane zawiózł do Rzymu X. Alauset, dyrektor seminaryum w Paryżu. Według dekretu Inocentego XI powinno było upłynąć teraz 10 lat od tego momentu aż do wprowadzenia w Rzymie sprawy beatyfikacyi. Od tego dekretu łatwo jednak otrzymać dyspensę; wcześniej przecież aniżeli przez 4 lata nie można ukończyć tego wszystkiego, coby umożliwiło wprowadzenie sprawy. Zeznania świadków muszą w Rzymie być najpierw przetłómaczone na język włoski, (jest ich w tej sprawie 800 stron in folio), to tłómaczenie musi zyskać aprobatę znawców, a potem obrońca sprawy robi z nich wyciągi i streszcza życie, cnoty i cuda przyszłego świętego. To wszystko musi być wydrukowane i rozdane kardynałom, którzy się tą sprawą

zajmują. Obrońca czystości wiary (urzędowy przeciwnik beatyfikacyi), przygotowuje zarzuty, adwokat zaś sprawy odpowiedzi na nie. Ojciec św. w swej nadzwyczajnej łaskawości, wprowadził nowość tę, iż zadecydował, że nie potrzeba tłómaczenia zeznań, o którem wspomnieliśmy wyżej, przez co sprawę bardzo posunął naprzód. Dekretem zaś z dnia 13 lipca 1891 polecił kardynałowi Richard przystąpić zaraz do zebrania pism Ludwiki. To też 2 listopada 1891 kardynał nakazuje w odezwie do swoich dyecezyan przed końcem roku 1891 pod karami kościelnymi każdemu, coby miał jakiekolwiek pismo Ludwiki złożyć je w konsystorzu. To samo uczynił już 27 września X. Generał w liście cyrkularnym względem Sióstr Miłosierdzia. Już 9 maja 1892 X. Pelgré wikaryusz generalny dyecezyi paryskiej, promotor sprawy z dyecezyi, złożył wszystkie pisma zebrane w domu centralnym Sióstr Miłosierdzia, a kopie ich wierne, jako też kopie pism nadesłanych od sióstr zamknięte i opieczętowane zawiozła do Rzymu S. Lequette. Nadto potrzebna była jeszcze jedna formalność. Aby Papież pozwolił wprowadzić sprawę beatyfikacyi, muszą wierni o to prosić. Sprawa ta petycyi ze strony wiernych wypadła dla Świątobliwej Ludwiki bardzo świetnie. Kardynałowie, arcybiskupi, biskupi, generałowie zakonów i wiele znakomitych osób, wystosowało prośby. 289 takich petycyi przesłano przez dom centralny Sióstr do kardynała Masseli prefekta kongregacyi obrzędów, wiele innych wysłano wprost do kongregacyi, albo do X. prałata Virilli, postulatora tej sprawy. Dnia 10 lipca 1894 Kongregacya Obrzędów orzekła, że w pismach Ludwiki nic nie znaleziono, coby się sprzeciwiało przedłożeniu sprawy beatyfikacyi, a Ojciec św. dnia 23 t. m. dekret ten potwierdził. A kiedy

tak liczne nadeszły petycye, Św. Kongregacya Obrzędów w porozumieniu się z JEm. kardynałem Caprara, obrońcą wiary św. orzekła 4 czerwca 1895, że sprawa wprowadzoną być może, Ojciec św zaś dnia 10 t. m. wyrok ten zatwierdził, nadając przez to Ludwice tytuł Świątobliwej. Sprawa więc stanęła w stadyum pierwszego *dubium*.

Co jeszcze pozostaje do ukończenia tej sprawy wiemy z tego, cośmy już czytali w tych Rocznikach o sprawie świątobliwego Cleta. W Rzymie bardzo są przychylni sprawie i tym, co się o nią starają, jak to łatwo poznać możemy z listu JEm. kard. Maselli pisanego do X. Generała, a który niżej podajemy. Nadzieja więc jest, że sprawa ta szybkim krokiem naprzód postępować będzie.

Jego Eminencya kardynał Aloisi Masella, raczył sam donieść Księdzu Przełożonemu generalnemu o tem szczęśliwem wypadku[1]) w liście datowanym w Rzymie w dniu samym podpisania dekretu.

List Jego Eminencyi Kardynała Aloisi Masella, prefekta Świętej Kongregacyi Obrzędów do Księdza A. Fiat, przełożonego generalnego Zgromadzenia Misyi i Sióstr Miłosierdzia w Paryżu.

Rzym, 10 grudnia 1895.

Mój Najprzewielebniejszy Księże Fiat!

Słusznem żądaniom obu rodzin św. Wincentego à Paulo właśnie uczyniono zadość. Na dniu 4 b. m. wniosłem w Kongregacyi Obrzędów sprawę służebnicy Bożej, siostry Ludwiki Marillac, wdowy le Gras, współzałożycielki i pierwszej Przełożonej generalnej Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia. Wszyscy kardynałowie odpowiedzieli potwierdzająco, a ta uchwała zo-

[1]) t. j. o podpisanie dekretu wprowadzenia sprawy.

stała zatwierdzoną przez Ojca świętego, na posłuchaniu, którego mi udzielił.

Wielka ta służebnica Boża godna jest tytułu świątobliwej, a Jego Świątobliwość własnoręcznie podpisze dekret.

Dobrze pojmujesz, Przewielebny Księże Fiat, jak szczęśliwym czuję się, pisząc te słowa, jak uczestniczę w świętej radości Synów i Córek św. Wincentego i jak szczęśliwym byłbym doczekać beatyfikacyi Świątobliwej; lecz jestem za stary, a siły słabną. W każdym razie jest to dla mnie wielką pociechą, że nietylko jako prefekt, lecz jako sprawozdawca, mogę się przyczynić do ogłoszenia tytułu świątobliwej, pierwszej z Córek wielkiego Świętego, któregoś Ty jest godnym naśladowcą".

Jego Eminencya był łaskaw wyprosić u Ojca świętego podpis dekretu w ten sposób, aby go można było ogłosić w dzień św. Antoniego, t. j. imienin Przewielebnego Księdza Generała. „Dobrze więc" odpowiedział najwyższy Pasterz, „sprawcie mu tę radość". Przy tej sposobności udzielił Jego Świątobliwość swego błogosławieństwa Księdzu Przełożonemu Generalnemu i obydwom jego rodzinom.

List Jego Eminencyi kończył się w tych słowach: A teraz pozwól, Przewielebny Księże, abym i ja złożył Ci me najszczersze życzenia w dniu Twych imienin; oby ci dobry święty Antoni, zwłaszcza w tym roku jako w 700 letnią rocznicę swą, wyjednał szczególną obfitość łask i pomocy niebieskich.

Racz przyjąć, Przewielebny Księże Generale wyrazy mego uszanowania i gotowości do usług.

† Kajetan Card. Aloisi Masella.

Modlitwa do św. Wincentego à Paulo

celem uproszenia za jego pośrednictwem beatyfikacyi Ludwiki Marillac.

O błogosławiony Sługo Boży Wincenty, Patronie wszystkich Stowarzyszeń miłosierdzia i Ojcze nieszczęśliwych, który w osobie Ludwiki Marillac znalazłeś najlepszą i pełną poświęcenia pomocniczkę w założeniu swych, podziwienia godnych dzieł;

Ty, który jej z taką wielką mądrością przewodniczyłeś do najwyższej doskonałości drogą krzyża;

Ty, który tak wielce czciłeś tę zacną niewiastę, jej nieustanną łączność z Zbawicielem, serca czystość, jej wielką roztropność, miłość ubogich i zamiłowanie ubóstwa.

Ty, któryś córkom jej polecił ją wzywać, twierdząc z pewnością że w niebie jest;

Przez wszystkie te usługi, jakie Ci oddała i przez wdzięczność, jaką Serce Twe było dla niej przejęte:

Błagamy Cię, dla chwały Bożej, dla wywyższenia Kościoła katolickiego, dla dobra obu Twych rodzin, błagaj z nami Niepokalaną Maryę o chwałę na ziemi dla tej, która z tak wielką gorliwością pragnęła ogłoszenia tajemnicy Niepokalanego Poczęcia.

Aby ta, która była uczestniczką w Twych pracach i cierpieniach, brała udział w Twej czci i chwale. Przez Chrystusa Pana Naszego. Amen.

Sprawozdanie z Misyi

danych przez XX. Misyonarzy w jesieni 1895 roku.

List JMC X. Sokołowicza do Przew. X. P. Soubieille, Wizyt. Prow. Krak.

Czcigodny Księże Wizytatorze!

Roku jeszcze nie ma, jak Najprzewielebniejszy Książę Biskup Puzyna zasiadł na tronie św. Stanisława, a praca misyjna w krakowskiej dyecezyi weszła już w życie, ujętą została w pewien stały system i rozwinęła się w całej pełni. Na jesień b. r. wydzielił nam Najprzewielebniejszy nasz Arcypasterz śliczny łan do obrobienia — trzy parafie dekanatu bialskiego wzdłuż granicy szląskiej w dobrach arcyksiążęcych położone.

Bestwina. Zaczęliśmy prace od Bestwiny, znanej nam nieco, ale tylko z tego, czem się w ostatnich czasach wsławiła t. j. że prawie w każdym numerze „Naprzodów“, „Wieńców“, „Pszczółek“ i t. p. socyalistycznych gazetek widniała. Przypuszczaliśmy, że tu napotkamy kolonię ludzi zuchwałych, bez wiary, bez uszanowania dla Kościoła i kapłanów, że nie zechcą nas słuchać, na nabożeństwa nie przyjdą; ale dzięki Bogu, inaczej się pokazało i z zupełnie innem przekonaniem odjechaliśmy z Bestwiny, aniżeliśmy tu przybyli. W sobotę dnia 7 września popołudniowym pociągiem wyjechaliśmy na tę pracę. W Dziedzicach stacyi kolei Ferdynanda czekał na nas wikaryusz z Bestwiny X. Marcin Piechota z miejscowym naczelnikiem gminy. Chłodek i śliczna pogoda sprzyjały, gdy szarym wieczorkiem po krótkiej z dworca kolejowego przejażdce stanęliśmy przed samym kościołem w Bestwinie. Kościół murowany, dość obszerny

przybrano wspaniale, z wieży wywieszono chorągiewki, a lud parafialny ze swym pasterzem na czele wyruszył procesyonalnie na nasze przyjęcie. To było dla nas prawdziwie niespodzianką. Miejscowy proboszcz X. kanonik Wajda, jakby odgadując nasze obawy, z jakiemiśmy się na misyę do Bestwiny wybierali, powitał nas przed bramą kościelną rzewnie i serdecznie jako współbraci i pomocników w pracy nad jego owieczkami. „Wiara nasza święta — dodał — jest tak dziwnie potężna i cudowna, że z ludzi aniołówby zrobiła, że nam tu na ziemię szczęście niebieskie może przychylić; ale niestety dziś smutne czasy nastają. Wszędzie a w szczególności do tej parafii zaglądają ludzie podburzający łatwowierne i prostoduszne serca przeciw Kościołowi i wierze św., ludzie łudzący obietnicami, że lepszą dolę sprowadzą na klasę roboczą, że oni im dadzą szczęście, za którem każdy tęskni. Jak mogłem, pracowałem wraz z pomocnikiem moim, by ostrzegać owieczki moje, — że to wilki w owczej skórze do nich się zbliżają. — Dziś z największą serca mego pociechą was witam, Czcigodni Współbracia XX. Misyonarze, jako pomocników w tej trudnej pracy. Nauczajcie nas, prowadźcie, a wszyscy słuchać będziemy“.

Poczem ruszyła procesya i wprowadzono nas do kościoła. Na zewnątrz piękny, a na wewnątrz, jak na wiejską parafię, wspaniały kościół: przed 5 laty pomalowany; porządek wzorowy. Pomodliliśmy się chwilę, poczem zaraz wyszły nieszpory, a nas zaprowadzono na plebanię. Tu także parada i serdeczność niezwykła, drzwi i korytarze poubierano zielenią, kwiatami — słowem tak jak tu serdecznie i wspaniale jeszcze nas nigdzie nie przyjęto. Wszystko rozrzewnione, zapłakane: więc widać, że to jednak nie było sztuczne,

ale serdeczne. Rozpoczęcie starym zwyczajem odbyło się w samą uroczystość Narodzenia Najśw. Panny Maryi na sumie.

Po odśpiewaniu „*Veni Creator*“ i spełnieniu zwykłych ceremonij znowu przemówił X. Proboszcz, zachęcając, by parafianie z Misyi korzystali. Z bólem serca wspomniał i o wichrzycielach, którzy właśnie na dzień, kiedy się misya rozpoczyna w parafii, zapowiedzieli wiecyki przedwyborcze, gdzie mają opowiedzieć wyniki swych narad z żydami wiedeńskimi, a groźbą i prośbą nakłaniać, żeby się wszyscy z ich obozem łączyli. Odbył się podobno i ten zapowiedziany wiecyk, ale zaledwie kilku zbałamuconych wzięło w nim udział. Ludu zebrało się w kościele, że się pomieścić nie mogli i tak do końca misyi wiernie i licznie uczęszczali. Lud tu rózgarniony, obczytany: gospodarstwo prowadzone więcej postępowo; gdzie tylko coś nowego w świecie wynajdą, już tu w Bestwinie znajdziesz. W pobliżu Biała i Bielsko, zarobki dobre. Noszą się schludnie, nawet bogato; żyją dosyć moralnie i trzeźwo. Na misyę oprócz miejscowych parafian, chodzili i ze sąsiedztwa: z Komorowic, Hałcnowa, Białej, a poczciwi Szlązacy prawie cały czas na każdej seryi tu siedzieli i powiadali, że im się te „przykłady“ podobają. Kobiet było 900, dziewcząt 800, chłopców 500, gospodarzy 600. Kapłani ze sąsiedztwa pomagali wiele. Bawił tu kilka razy najbliższy sąsiad, dawny nasz lokator i profesor, a obecnie X. Proboszcz Fleischer, X. Jasica expozyt z Kaniowa codzień $^3/_4$ mili pieszo przychodził i dzielnie pomagał. Z Białej X. Proboszcz Hamerlak, z Pisarzowic X. Krzeszowski również pomagali. To też praca szła przyjemnie i lekko, serye jedna drugiej się nie zadłużały. Przystępowanie do świętej Trzeźwości szło z początku dosyć tępo,

ale przy końcu lepiej. Ogółem przyjęliśmy do tego Bractwa 1,500 osób. Dwa wypadki dosyć ciekawe się tu zdarzyły. Mniej więcej w połowie misyi, bo pod koniec seryi dziewcząt siedzieliśmy pewnego razu wieczorem u X. Proboszcza. W tem drzwi się otwierają i wchodzi jakiś murarz, pijany ledwie się na nogach trzyma. Wyproszono go do sieni i posłano po wójta, który sobie umiał z tego rodzaju indywiduami radzić. Przybiegł niebawem i rozmówił się z nim tak „po polsku" podobno i okłady jakieś zrobił tak, że na pół wytrzeźwiał, poczem kazał zamknąć do aresztu. Prosi, błaga: już róbcie ze mną co chcecie, tylko do aresztu nie bierzcie; do Białej — do Wadowic poszlijcie, ale tu nie zamykajcie. Nic nie pomogło, musiał przed misyą rekolekcye między szerszeniami odsiedzieć. Był to pijak wyjątkowy na całą Bestwinę. Księża i krewni pracowali nad nim, żeby się upamiętał, ale napróżno. Powiadano, że w lecie pewnego razu gdzieś się zabawił późno w noc i tak, gdzie zaszedł, nikomu spokoju nie dał. W pewnem miejscu spuszczono psa na niego. Uciekając wtenczas przez jakiś mostek, pośliznął się i wpadł do wody, mało się nie utopił. Od tego czasu przez kwartał trzeźwy przyzwoity chłopiec. Teraz znowu zrana był w kościele; zgniewało go to, że musiał na polu stać, bo kościół cały przepełniony. Na nieszporach z tej złości nie był; ale poszedł z dawnymi kompanami; i tak sobie pozwolił. Na drugi dzień rozpoczyna się misya dla młodzieńców, patrzymy, a ów Franek pierwszy do kościoła przyszedł. Niewyspany, rozmarzony, pokąsany (od szerszeni), staje przy samej ambonie. Wysłuchał nauk; przyszło ślubowanie — on pierwszy klęknął; pozapisywał się do różańca, szkaplerzy — zapewnił, że już dosyć tego — już się na dobre poprawi.

Kiedy się znowu odprawiała misya gospodarzy, przyszedł jakiś człowiek z austryackiego Szląska, wyspowiadał się i potwierdził obietnicę ś. Trzeźwości. Podobno już kilka razy ślubował, a ustawicznie przyrzeczenia swoje łamał i pił po dawnemu. Upomina go więc kapłan, żeby z P. Bogiem nie żartował, bo go może kara boska spotkać, może nagle umrzeć, albo go i dyabeł porwie... Odchodzi on po misyi do domu, a ciągle mu to w głowie było, co mu się też stanie, jak i tego ostatniego przyrzeczenia nie dotrzyma, czy go też np. dyabeł porwie, albo mu co zrobi? Idąc koło karczmy wstępuje i bierze sobie litr gorzałki. W domu opowiada żonie wszystko. Ta go zaklina: daj pokój, nie żartuj! Ale śmiałek nalał sobie gorzały i wychyla kieliszek jeden po drugim. Wtem wchodzi do domu nie znany jakiś, zasmarowany człowiek i prosto ku pijakowi idzie. Wyjął z kieszeni flaszkę i pyta: Będziesz pił?, ten blednie i powiada: nie chcę. Wtenczas uderzył go tą flaszką tak silnie, że zemdlał i padł jak długi na ziemię. Żona wybiega, pyta się sąsiadów czy kogo nie widzieli? Nikogo nie widziano. Nieszczęśliwego pijaka odwieziono do szpitala w Białej, gdzie podobno po 2 tygodniach umarł. To nam X. Piechota wik. z Bestwiny opowiadał. Popłoch i przerażenie ogromne z tego w całej parafii. Bardzo wielu z tych, którycheśmy nie przyjęli do ś. Trzeźwości sami się zgłaszali do miejscowych księży i prosili o przyjęcie. Budowaliśmy się w Bestwinie pobożnością i staraniem o dom Boży, co każdego zastanowi, kto pierwszy raz do kościoła tutejszego wejdzie. Najpoważniejsi gospodarze za honor sobie poczytują sprzątać w kościele, P. Jezusowi w czemkolwiek usłużyć. Wójt jest zarazem głównym kościelnym. W czasie misyi regularnie 2 razy dziennie kościół zamiatano. Po postawieniu krzyża

zaprowadziliśmy Drogę krzyżową, — jakąż pociechą było patrzeć, jak ze 20 gospodarzy uwijało po ołtarzach, czyścili lichtarze, ocierali obrazy. Tu lud ma wiarę. Służba kościelna od maluczkich ministrantów począwszy, wprawna w posługiwanie przy ołtarzu — i chętnie takowe spełnia. Codziennie od 5 godziny do 9 zrana lud śpiewał pieśni i organ zawsze towarzyszył; biednemu organiście aż palce popuchły. Piękny to lud i pobożny i temu chyba zawdzięczać należy, że pomimo strasznych wysileń, jakie robił X. Stojałowski, żeby go sobie zjednać, zaledwie kilku zdołał na lep swój naciągnąć. Dwaj najgłówniejsi zwolennicy tego upadłego kapłana, na końcu misyi już sami nie wiedzieli co robić, bo zostali od wszystkich opuszczeni jak tyki, kiedy chmiel z pola zbiorą. Jeden wybrał się i do spowiedzi, a potem gwałtem domagał się Komunii św., ale mu odmówiono, jako niepoprawnemu wrogowi Kościoła. Drugi żył na wiarę jak Herod, i Herodem został. Tyle zostało X. Stojałowskiemu i jego współpracownikom z całej parafii, o której z dawien dawna gardłowali, że im sprzyja, że do nich należy.

Dnia 24 września przed południem postawiliśmy krzyż misyjny, a wieczorem odwieziono nas paradnie z banderyami do Dziedzic. Chłopcy na koniach z chorągiewkami za każdym z misyonarzy po kilku jechali, a naczelnicy gmin dobijali się, żeby chociaż kuferek misyonarzowi podać. Wśród okrzyków: „Niech żyją XX. Misyonarze!“ ruszył z nami pociąg do Krakowa. Misya w Bestwinie, to jedno z najśliczniejszych naszych wspomnień.

Jawiszowice. W uroczystość św. Michała Arch. zaczęliśmy drugą w tej okolicy misyę t. j. w Jawiszo-

wcach. W czasie sumy przemówił nasz Senior X. Kamiński przypominając walkę w niebie z jakiej słynie po wszystkie wieki św. Michał i z tego zrobił aluzyę do walki jaką w Jawiszowicach pod opieką św. Michała misyonarze rozpoczynają. Tamta się skończyła hańbą i potępieniem Lucypera, a wywyższeniem aniołów dobrych: tak i misyi zadaniem jest złe stłumić, a dobrych utwierdzić. Te same niespokojne prądy, jakie w Bestwinie wichrzyły i tu się zaczęły pojawiać od pewnego czasu. Maleńka parafia, to też zwolenników nowostek na palcach można było policzyć; a jednak niektórym z poczciwych nawet parafian pozawracali w głowach. Był tu wypadek, że pewien kolejarz kilka miesięcy dziecko niechrzcone w domu trzymał dlatego, że ksiądz nie chciał przypuścić za chrzestnego człowieka, który gazety zakazane trzymał, sprowadzał i rozpowszechniał. Jawiszowice dawniej, to perła w dyecezyi, lud spokojny, ułożony, światły; dopiero od czasu jak tu zaczął wstępować X. Stojałowski, stał się butny, uparty i zuchwały. Na misyę przyszli wszyscy z adherentów X. Stojałowskiego, jeden tylko został otwartym i zagorzałym jego zwolennikiem i misyonarzom groźne listy posyłał. Kościółek nie wielki, drewniany z zewnątrz nie bardzo stylowy; ale wewnątrz utrzymany bardzo starannie i wzorowo. Organ Riegerowski piękny, 2 ołtarze Stuflesera roboty, ładne. Cała parafia jak rodzona siostra Bestwiny; lud pobożny, z mowy i głowy, zwyczajów i obyczajów, miny i czupryny wykapane Szlązaki. Wyspowiadaliśmy kobiet i dziewcząt 500, mężczyzn i chłopców 400. Pomagali: X. kan. Wajda ze swym wik., X. Krupa wik. z Oświęcimia, X. Macak Exp. z Brzeszcz i O. Edmund Ref. z Kęt. Do św. Trzeźwości zapisało się 500.

Dankowice. Dnia 7-go października postawiliśmy krzyż misyjny i pojechali do Dankowic, sąsiedniej parafii, gdzie już od dwóch dni pracował X. Buchhorn. Niestety tu już nie było tego co nas cieszyło w Bestwinie i Jawiszowicach. Lud niby taki sam, bo to w środku między temi dwiema parafiami. Ale do kościoła ani trafić, w zakrystyi można nogi połamać, stopnie u ołtarzy chwieją się, jak huśtawka, a najzabawniejsze to dwie figury śś. Piotra i Pawła na wielkim ołtarzu, w które wbito dwa gwoździe i przypięto drut, żeby się świece nie poobalały, z Apostołów akolitów porobili. Światło z jakiejś takiej fabryki chłopskiej, że podczas sumy i nieszporów zawsze formalny deszcz woskowy na ołtarzu. Teraz kiedy sobie te przygody wspominamy, trochę to i zabawnie wygląda; ale widzieć Pana Jezusa w takiem zaniedbaniu, to boli serce. Chłopi jacyś nieporadni, kręci się ich kilku po kościele, a sami nie wiedzą za czem. Pijaństwo tu zagęszczone i zakorzenione było bardzo, całe osady we wsi były takie, że numer przy numerze pijacy sami. Przy nich żydzi dobrze się mają. X. Stojałowski naciągnął z nich też porządnie. Przyszło krzyż misyjny robić, zebrali się sami pijacy cieśle i tak zmajstrowali, że korzeń dali do góry. Wyspowiadaliśmy kobiet i dziewcząt 450, gospodarzy i chłopców 300. Zaprowadzono tu w myśl najświeższych rozporządzeń Najprzew. Książęco-Biskupiego Konsystorza Krakowskiego Bractwo św. Trzeźwości; Różaniec żywy, Apostolstwo Najsł. Serca Pana Jezusa i Drogę Krzyżową. Do św. Trzeźwości przystąpiło ogółem 500 osób. Sami podnieśli myśl, żeby się postarać o sztandar bracki i już zaczęli się składać. *Confirmet hoc Deus!*

Dnia 14 października zakończyliśmy tu misyę i wrócili do swoich.

Tarnów. Po skończeniu misyj w dekanacie bialskim myśleliśmy, że już wypoczniemy w tym roku, tembardziej, że czekała zwyczajna zimowa praca nasza, t. j. Rekolekcye ludowe na Kleparzu. Ale inna była Wola Boża. Jego Exc. Najprzew. X. Biskup Łobos wezwał nas do pracy zaszczytnej, ale i trudnej, a nam sługom żebraków i ubogiego ludu niezwykłej, zażądał, byśmy w Jego katedrze, dla owieczek Jego sercu najbliższych, t. j. dla parafii tarnowskiej dali misyę. Kiedy i Najprzew. X. Generał na to zezwolił, wszyscyśmy uznali, że taka Wola Boża, poddaliśmy się z pokorą i misyę przyjęli. Praca niezwykła, a siły nasze już osłabione, bo od Wielkiego Postu prawie ciągle byliśmy w drodze. Miało nas pięciu jechać: Czcigodny X. Kiedrowski, nestor misyonarzy jako przewodniczący z nami; ale i to Wola Boża zmieniła: w chwili, kiedy miał wyjeżdżać na misyę, ciężko zasłabł we Lwowie i przewodniczyć nam nie mógł. Telegram smutny z tą wiadomością otrzymaliśmy przed samym wyjazdem. Skończyło się na tem, że ci sami 4 misyonarze, którzy bojkom i hucułom, lachom bocheńskim i góralom żywieckim opowiadali prawdy boże, do wykwintnego i pańskiego Tarnowa pojadą. W drodze nowy kłopot: X. Kamiński w wagonie czapkę zgubił — szukamy, przewracamy — niema. Już niedługo trzeba wysiąść, a tu siwa, poważna głowa bez nakrycia. Kiedy się tak kłopotamy, otwiera się sąsiednie coupé i jakaś pani czapkę oddaje. Pakier krakowski wnosząc środkiem wagonu za jakąś jejmością całą tandetę, zagarnął z półki czapkę i dalej poniósł i takiego kłopotu poczciwemu staruszkowi narobił. W Tarnowie stanęliśmy w samo południe. Ks. Pawlikowski, senior wikaryuszów i X. Orzechowski na dworcu nas powitali i zawieźli do siebie. Tuśmy poznali czterech innych

wikaryuszów, z którymi odtąd mieliśmy dole i niedole misyjne podzielać.

Popołudniu odwiedziliśmy proboszcza parafii X. kan. Leśniaka, następnie mieliśmy szczęście złożyć uszanowanie Jego Excelencyi X. Biskupowi, tudzież X. Infułatowi Walczyńskiemu. Zanim się zmroczyło, oglądaliśmy katedrę; chcieliśmy i miasto zobaczyć, niestety, przy sobocie wszystkie ulice i uliczki tak zapchane żydostwem, że ani się ruszyć.

Rozpoczęcie misyi nastąpiło, jak zwykle, na sumie w niedzielę dnia 17 listopada. Przybył sam Exc. Najdostojniejszy Arcypasterz i on dokonał wstępnych ceremonij. Po *„Veni Creator“* przemówił od ołtarza ślicznie i porywająco X. prob. i kan. Leśniak, wykładając wiernym znaczenie i zadanie misyi, wzywając, by jaknajliczniej się zgromadzali. Następnie zwracając się do Exc. Najprz. X. Biskupa, dziękował Mu imieniem parafian, że kiedy od kilku lat rozsyła na wszystkie strony w dyecezyi swojej misyonarzy na misye i rekollekcye, i o owieczkach Jego sercu najbliższych nie zapomina, owszem tak wspaniałą ucztę duchowną im zastawia. Nam wreszcie od pracy do nowej mozolnej pracy zawezwanym, jako otuchę i zachętę przytoczył słowa Daniela: *„Którzy do sprawiedliwości zaprawiają wielu, jako gwiazdy jaśnieć będą na wszystkie wieki wieczności“*. Najprzewielebniejszy X. Biskup udzielił nam i ludowi błogosławieństwa, poczem wyszła suma celebrowana przez X. Infułata Walczyńskiego. Trzech misyonarzy odprowadzono do stal między kanoników, a senior X. Kamiński powiedział w czasie sumy wstępną naukę misyjną. Na nieszporach miał kazanie X. Krzyszkowski. Praca na dobre się zaczęła na drugi dzień, t. j. poniedziałek od południa. Zachowaliśmy porządek, jakiego się zwyczajnie na misyach trzymamy. Cały

czas, a więc przez dwa i pół tygodnia, obszerna katedra od świtu do zmroku przepełniona ludem. Kiedy się zaczęło słuchanie spowiedzi, jakiż to pocieszający i budujący widok przedstawiała katedra! XX. kanonicy z wyjątkiem jednego staruszka i drugiego chorego, siadali regularnie i w tych kurzach, zaduchach słuchali wytrwale. Księża profesorowie i katecheci po kilkogodzinnej pracy urzędowej szli codzień nam na pomoc. OO. Bernardyni również pomagali, a XX. wikaryusze i nam się wyprzedzić nie dali do konfesyonału, aż chorowali po misyi. Kobiet było 2500, panien 2000, chłopców 1200, mężczyzn 2000; tak mniej więcej według kartek można było obliczyć.

Misya była przeznaczona przedewszystkiem dla mieszczan z Tarnowa i przedmieść. Dla inteligencyi urządza od kilku lat towarzystwo św. Józefa osobne rekollekcye. Wielu było bez kartek — a po skończeniu misyi już dwa tygodnie, a jeszcze ciągle spowiedzi słuchają tak, że według komunikantów liczba wyspowiadanych przechodzi 10000. Taką falangę przetrząść to tylko w Tarnowie się uda, gdzie po 30 spowiedników w samej katedrze pracowało, a XX. Filipini u siebie. Do Trzeźwości zapisanych przeszło 5000. Prawdziwie przyznać trzeba, że niema miasta w naszej Galicyi, gdzieby tyle i z takiem poświęceniem pracowano nad ludem, jak w Tarnowie. Każdy stan ma tu jedno lub kilka nawet stowarzyszeń. Istnieją konferencye św. Wincentego męska i żeńska; z tych pierwsza zawiązała przed rokiem stowarzyszenie „Praca“ dla robotników katolickich. Panie z Konferencyi św. Wincentego założyły Stowarzyszenie sług katolickich, zajmują się niem XX. Filipini i wiele dobrego robią. Czeladnicy mają tu swoje stowarzyszenie: „Ojczyzna“; majstrowie i rzemieślnicy „Gwiazdę“.

Wszystko pod okiem i kierownictwem księży gorliwych, którzy na zebrania chodzą, odczyty, pogadanki im urządzają. Szczęśliwy Tarnów, że mu Bóg tylu i tak zacnych pracowników, tak dzielnych obrońców i nauczycieli posyła.

Ale tego właśnie znieść i przeboleć nie mogli agenci dzisiejszych ruchów ludowych przywódzcy socyalizmu; Stojałowski, Wysłouch i Daszyński ręce sobie podali, by jakąbądź drogą Tarnów sobie zjednać. Jeździli tu na miejsce, dawali zapomogi, częstowali pijaków, X. Stojałowski nabożeństwa im w szynku odprawiał, ale oprócz garstki pijaków i uliczników nie mogli więcej w Tarnowie zyskać. Daszyński ostatni raz od domu do domu chodził, prosząc, by mu pozwolono u katolików zebranie zwołać; ale wszędzie ze wzgardą go wypychano — musiał więc na szynkowni żydowskiej poprzestać. Stojałowski dwie noce po Strusinie i Grabówce uganiał buntując ludzi, żeby na misye nie chodzili, że to głupstwa, co misyonarze będą nauczać — a jednak przyszli i słuchali.

Uroczystą, wspaniałą i pamiętną na długie czasy pozostanie dla Tarnowian chwila, kiedy w Niedzielę I. adwentu przed sumą dla stowarzyszenia robotników „Praca“ święcono w katedrze nowy sztandar. Wśród dźwięków muzyki przyszło 250 robotników do katedry z nowym sztandarem. Przybył Najdostojniejszy Arcypasterz, by osobiście aktu tego dokonać. Do zebranych przemówił oświadczając im swoją radość, że go do tego aktu wezwano, i że w kościele sztandar swój poświęcają, bo przez to uroczyście zeznają, że się kościoła chcą trzymać, z kościołem żyć i umierać. Kościół też zawsze o ile miał po temu swobodę, zajmował się dolą ludności pracującej. Osłaniał swą powagą dawne

cechy, przez co jednał pracy należyty szacunek, a przez zjednoczenie dawał siłę rękodzielnictwu do pomyślnego rozwijania się i odparcia niebezpieczeństw. Dziś samolubny liberalizm rozbił te instytucye chrześciańskie i do opłakanego stanu przywiódł ludność pracującą. Kościół znowu obmyśla i podaje nowe środki zaradcze i skuteczne leki na rany społeczeństwa, „Wy dobrze robicie, dodał, że się skupiacie pod sztandarem zawsze zwycięskiego Kościoła. Pracy się nie wstydźcie, bo ona nikogo nie poniża — i ja synem rzemieślnika jestem; ojciec mój do cechów należał, a gdy umarł wszystkie cechy na jego pogrzeb wyległy. Jakże to pięknie było! Stójcież i wy pod tym sztandarem „Pracy“, jak św. Józef, którego obraz umieściliście na nim, trzymajcie się zawsze z Jezusem i Jego Matką Najśw., znoście wasze trudy za przykładem św. Józefa z poddaniem się woli Boga, a Bóg któremu ufacie, będzie obrońcą sprawy waszej“. — Po poświęceniu sztandaru przemówił X Dr. Kopyciński rozwijając kilka uwag o socyalizmie.

Trzecią wspaniałą chwilą misyi był ostatni dzień konkluzya 3 grudnia, kiedy kościół czci pamiątkę św. Franciszka Xawerego wielkiego misyonarza Indyj. Sumę przy rozdawaniu komunii św. mężczyznom znowu celebrował X. Infułat Walczyński. Poświęcenia krzyża misyjnego dokonał JExc. sam Najprzewielebniejszy Ksiądz Biskup. Poczem w kościele pożegnalną naukę powiedział X. Kamiński.

A kiedy na końcu prosił Najprzewielebniejszego Arcypasterza, by błogosławieństwem swojem raczył utwierdzić ten zasiew, jakiśmy nieudolną ręką w serca Jego owieczek rzucili, powstał z tronu swojego JExc. Najprzewielebniejszy X. Biskup i tak przemówił: „Całem sercem błogosławię tę pracę misyjną, którą

dziś kończymy. Błogosławię te owieczki najbliższe mojemu sercu. Błogosławię i wam, Synowie św. Wintego à Paulo, którzyście cały ciężar tej pracy podjęli i przez te 17 dni go nosili. Wznoszę niegodne moje ręce ku Panu Zastępów i wołam, by was błogosławić raczył!... Tu udzielił nam i ludowi błogosławieństwa.

Znowu wszedł na ambonę Proboszcz parafii X. kanonik Leśniak, by jeszcze ostatnie słowo powiedzieć. Wspomniał o cudownem zdarzeniu z życia św. Klemensa, Papieża. Kiedy tego Świętego wywieziono na wygnanie w głąb Pontu, zastał tam dwa tysiące chrześcian, zajętych łamaniem marmuru. Usychali wszyscy z pragnienia, bo wody w miejscu nie było, ale o 6 mil musieli ją sprowadzać. Dowiedziawszy się o tem św. Papież, wstępuje na pagórek i zaczyna się modlić; a oto ukazuje się baranek śnieżnej białości i prawą nóżką potrąca o skałę. Idą na to miejsce i znajdują źródło najśliczniejszej wody. Co widząc, wierni padli na twarz i wielbili Boga, a z pogan wielu się nawróciło. Do tych ludzi, którym brak wody dokuczał, przyrównał Dostojny Kaznodzieja parafian swoich. Przed Misyą nie byli oni poganami, a jednak łask bożych nie znali. W niedzielę i święta rynki, ulice, sklepy i kramy napełnione, a kościół pusty. Ale w czasie tej św. misyi dziwnie się serca wszystkie poruszyły; nadciągały tu tysiące jedne po drugich, a wszyscy skruszeni, przerażeni; raz słychać było śpiewy, to znowu modlitwy, to jęki, płacze i łkania. Przez $2^1/_2$ tygodnia od rana do zmroku ta katedra przepełniona. Zaczynało się „Godzinkami“, a kończyło na „Anioł Pański“. I któż te serca przedtem tak oschłe i zakamieniałe poruszył i użyźnił? Ten Baranek Niepokalany — Zbawiciel Nasz JChr., który podał myśl, żeby tu misyę urządzić i misyonarzy tu posłał. Dzięki Mu za to skła-

dajmy! Kiedy za chwilę, Najprzewielebniejszy Arcypasterz u stóp ołtarza zaintonuje: „*Te Deum laudamus!*“ a kler cały wtórować Mu będzie „*Te Dominum confitemur,* wy z całej duszy w sercach swoich wznieście hymn dziękczynny: Ciebie Boże chwalimy — Ciebie Panem wyznawamy!“ A kiedy odchodzić będą, żegnając się z wami ci słudzy tego Baranka Niepokalanego XX. Misyonarze, przez których te łaski na was spłynęły, na rękach ich nieście — krańce szat ich całujcie!...“ Powstał jęk i płacz w kościele, a myśmy po odśpiewaniu *Te Deum* umykali, gdzie który drzwi dorwał; kto wie, coby z nami byli robili. Z mazurami zacząć to nie żart! I tak się skończyła nasza dwunasta w tym roku misya.

Na obiad wraz z X. Infułatem Walczyńskim, X. kan. Leśniakiem i XX. wikaryuszami byliśmy zaproszeni do JExc. Najprzew. X. Biskupa. Tu nam się jeszcze lepiej, jak w kościele wiodło — odchodziło wszystko jak w Kanie Galilejskiej.

X. Biskup wniósł toast na cześć naszego Zgromadzenia — wspomniał, iż sobie to za wielkie szczęście poczytuje, że mógł pracować w domu przez naszych konfratrów zbudowanym (w Samborze), a chociaż sam nie zastał już naszych konfratrów w Seminaryum przemyskiem, to jednak co oni zaprowadzili, przechowało się tam w całej ścisłości. *Niech żyją!* Przy pożegnaniu udzielił nam w swojej dyecezyi jurysdykcyi *toties quoties* z rezerwatami, ze wszystkiem. Wieczorem podobne zebranie pożegnalne odbyło się u X. Infułata Walczyńskiego.

Przy końcu pracy w kościele wezwano nas, by i w więzieniu tutejszem dać rekollekcye. Powiedzieliśmy im kilka nauk, przyjęli do św. Trzeźwości blizko 100, ale wyspowiadać jużeśmy nie zdołali, bo inne

obiecane zajęcia nagliły. W środę dnia 4 grudnia w południe wypadło nam Tarnów pożegnać. Poczciwi XX. wikarzy tak się do nas przywiązali, że od rana chodzili, jak przy umarłym. Odwieźli nas paradnie fiakrami: na każdym 1 misyonarz i X. wikaryusz, jak do ślubu — pożegnaliśmy się na dworcu i przybyli szczęśliwie do Krakowa.

Za dwa dni znowu jazda do Bóbrku. Mieliśmy tam misyę pierwszą w Krakowskiej dyecezyi w poście 1892 r. Prosił X. Proboszcz, żeby przy święcie Niepokalanego Poczęcia Najśw. Panny małe przypomnienie zrobić. Pojechaliśmy obaj z X. Krzyszkowskim — powiedzieli kilka nauk i wyspowiadali z 500 osób. Do św. Trzeźwości zapisało się z 300 nowych, którzy na ostatniej misyi nie chcieli, albo nie byli. Bobraki to ci sami, cośmy ich przed 4 laty poznali. Tylko krzyknąć, że coś ciekawego w kościele to i o północy przylecą — skłonni do różańca — ale i do tańca. Flisacy, światami jeżdżą, wiele ciekawości wiedzą — toby się i co rok takie „reflexye“ przydały.

Na tem kończę, Czcigodny Ojcze, to wspomnienie o pracach naszych z ostatniego kwartału. Rok to był dziwnie obfity w prace dla nas. Dwunastu misyj i to niektóre olbrzymie — w jednym roku jeszcześmy nigdy nie dali. Niech to będzie na większą chwałę Zbawiciela Naszego, w którego Najśw. Sercu pozostaję powolnym i najpokorniejszym sługą.

X. *Józef Sokołowicz*
n. k. Z. Mis.

Sprawozdanie z Misyi zagranicznych

przez X. Bettembourg, pokuratora general. Zgromadzenia[1])
1894 roku.

PROWINCYA PERSYI.

1. Zakłady misyonarzy.

Urmiah. 8 misyonarzy; 3 braci; seminarya; szkoły; misye; drukarnia i t d.

W domu tym mieszka ksiądz biskup Montety, delegat apostolski. Odkąd stanął na czele dzieł misyjnych starał się skoncentrować je wszystkie w swej rezydencyi. Stoją one na takim stopniu, że nie ustępują w niczem protestanckim, które naszym przeciwstawili.

Idąc za tą samą myślą rozszerzania dzieł i wywierania wpływu, odezwał się za pośrednictwem dzienników, aby skłonić jakiego młodego lekarza katolickiego do osiedlenia się w Persyi. Prawda, że sama Misya nie zdołałaby mu zapewnić przyszłości; lecz starałaby się nie bez skutku o to, by mu zapewnić praktykę lekarską w najzamożniejszych rodzinach kraju, a nawet u niektórych członków rodziny Szacha.

Od dawna zauważono, że są pewne zamiary Rosyi, by zająć Persyą. Ze względu też na te wypadki, konfratrzy nasi od samego początku działalności swej w tym kraju, starali się przygotować poważne duchowieństwo krajowe, wierne swemu obowiązkowi, a w razie potrzeby gotowe nawet na męczeństwo. I zaprawdę, muszę powiedzieć, że wielu kapłanów, którzy wyszli z tego seminaryum, w rzeczywistości nie zawiodło nadziei, jakieśmy w nich pokładali. Kilku wstąpiło do naszego Zgromadzenia np. X. Bedjan, który przez ogłaszanie dzieł chaldejskich świadczy i na przyszłość też wyświadczać będzie największe przysługi

[1]) Tłom. z Annales r. 1895 Nr 4.

sprawie zachowania wiary katolickiej wśród swych rodaków. Jakiekolwiek będą próby, które przyszłość gotuje Kościołowi w tym kraju, konfratrzy nasi poświęcą się z większą jeszcze gorliwością, o ile to jest możebne, by umocnić kapłanów i chrześcian w ich przekonaniach religijnych, i by powiększyć liczbę katolików. W tym to celu utworzyli szkołę na wzór francuskiej „École normale“, gdzie się właśnie kształcić mają młodzi nauczyciele dla stu kilku szkół we wsiach, rozrzuconych po płaszczyźnie Urmiah. Aż do dzisiaj, rezultaty całkiem zadawalniające, wynagrodziły usiłowania naszych konfratrów. Ci młodzi nauczyciele są bardzo biegli, spełniają wiernie swe obowiązki i pociągają do siebie ku wielkiej rozpaczy protestantów wszystkie prawie dzieci katolików i schizmatyków.

Khosrowa. 3 księży i 2 braci.

Miasto i okolica liczą przeszło 3000 Chaldejczyków katolików; codziennem zajęciem misyonarzy tego domu jest ogłaszanie ewangelii w kazaniach i katechizmach, dalej kształcenie i prowadzenie ich duchowieństwa. Jak w Urmiach, tak i tutaj zwiedzają i dozorują 25 do 30 szkół, które się znajdują w bliskości Khosrowy.

Teheran. 2 księży i 3 braci.

Działalność konfratrów obejmuje misye i dzieła rozkrzewiania wiary u Chaldejczyków i Armeńczyków, nadto szkoły dla chłopców i obsługę kościelną kolonii europejskiej w mieście samem; kapelanię 2 domów Sióstr i udzielanie nauki religii dzieciom im powierzonym.

2. Zakłady Sióstr Miłosierdzia.

Urmiah. 8 sióstr utrzymuje zakład dla sierót, ochronę i szkołę dla miasta, tudzież szkoły dla 7 wsi;

przytułek dla biednych; schronisko, w którem przyjęto i pielęgnowano 36,000 ubogich, odwiedziny chorych po domach prywatnych, mały szpital, katechizmy dla kobiet we wielu wsiach i stowarzyszenie dla łagodzenia sporów między kobietami.

Obraz ten dzieł wykazuje ważność usług, jakie siostry wyświadczają wierze w tym kraju. Mógłbym się łatwo wdać w bardzo zajmujące szczegóły miejscowe, lecz trzymam się tylko sprawozdania przełożonej i zdaje się, że najlepiej będzie wykazać rzeczy już ukończone i najważniejsze potrzeby.

„Dom Sióstr“ pisze ona „stoi w części miasta przez chrześcian zamieszkałej na pograniczu dzielnicy miasta zupełnie muzułmańskiej; nasz externat nie może zatem mieć więcej dzieci, jak te, które należą do ludności chrześciańskiej z dniem każdym się powiększającej.

Co się tyczy internatu, to różnie; na przestrzeni Urmiah znajduje się przeszło 60 wiosek zamieszkałych przez chrześcian nestoryanów, armeńczyków i katolików; przyjmujemy dzieci tych różnych wyznań; są to po większej części sieroty lub podrzutki lub też dzieci dobrych rodzin, które później mogą wiele zdziałać wśród nich. Dzieło to godne polecenia ale też wymaga najwięcej nakładu z powodu wydatków na żywność i utrzymanie. Trudno tu znaleść jakiś sposób, którym możnaby sobie choć część wydatków powetować; po za szkołą zajmują się dzieci nasze szyciem, pracą domową, naprawianiem bielizny i ubiorów misyonarskich i ich uczniów, jak niemniej i naprawianiem aparatów kościelnych.

Schronisko i odwiedzanie chorych po domach nie jest tak kosztowne a tymczasem sprawia nam wiele pociechy, gdy widzimy wielką liczbę aniołków, które można niebu przesłać; corocznie siostry nasze mają to szczęście, że udzielają przeszło 500 chrztów.

Do ochronki bardzo wiele dzieci uczęszcza; jest-to nowy zakład, a znaczne osobistości, które go przychodzą zwiedzać, zdumiewają się, słysząc dzieci śpiewające i mówiące po francusku.

Do szpitala, który nie posiada żadnego funduszu nie możemy z powodu niskiej wpłaty wielu przyjmować. Tego roku starałyśmy się odbudować część naszego starego domu, która groziła ruiną lecz ledwieśmy mury jego naruszyły, reszta się rozpadła. Patrząc na te ruiny nie można się oprzeć bojaźni przed wypadkami, które może spowodować pora deszczowa. Przydałaby się nam pomoc wyjątkowa na reperacye domu w roku przyszłym, bo inaczej bez słusznej obawy roztropność nie pozwoli nam dalej w nim mieszkać.

Bardzo mi też na sercu leży założenie szkół we większych wsiach. Lecz niestety środki nasze nie dozwalają mi tego, a tymczasem utrzymanie każdej szkoły nie kosztuje więcej nad 60 franków przeciętnie. Kazałam już założyć 5; lecz co najmniej 10 innych miejscowości ich potrzebuje. Już dyakonise angielskie bogatsze od nas utrzymują tam nauczycielki, by rozsiewać błędy.

Nasze szkoły z pewnością miałyby pierwszeństwo, lecz dla braku środków materyalnych, nie mogę spełnić mego życzenia.

Khosrowa. 7 sióstr; szkoła dla dziewcząt i chłopców; zakład dla sierót, apteka, rozdawanie lekarstw; odwiedzanie chorych po domach. Siostry Miłosierdzia, tak jak w Urmiah, świadczą tu bardzo wiele dobrego; bez nich protestanci niewątpliwie zapanowaliby w Khosrowie. Przed ich przybyciem, Misyonarze dla poszanowania obyczajów tego kraju, nie mogli się zająć nauczaniem kobiet; dzisiaj dziewczęta wychowane przez

siostry są nietylko wykształcone lecz utwierdzają rodzinę swą w wierze i z zadziwiającą gorliwością odpychają pokusy protestanckie.

Małe dziewczątka, przyjęte do zakładu sierót, są po większej części z pomiędzy heretyków, nestoryanów lub Armeńczyków, tu zaś otwiera się dla nich droga do katolicyzmu. Wiele z nich, gdyby ich siostry nie były zabrały, stałyby się były ofiarami haremu lub jakiego bogatego muzułmana.

W zakładzie sierót w Khosrowie okok nauki wiary św. uczy się je krawieczyzny, kucharstwa i t. d. celem przygotowania je na dobre gospodynie. Jeżeli je siostry wydadzą za jakiego uczciwego chrześcianina w mieście, to z chęcią i prawie darmo przyjmują urząd nauczycielek w tem mieście, w którem mieszkają.

Inne dzieła, jak schronisko, odwiedzanie chorych po domach i t. d. przynoszą wiele dobrego, brak środków tylko przeszkadza nam w ich udoskonaleniu. Siostry 2 domów w Urmiah i Khosrowie prócz utwierdzania ubogich katolików w ich wierze, gorliwie pracują nad nawracaniem heretyków nestoryan i Armeńczyków; powiedzieć muszę, że to apostolstwo pełne miłości i poświęcenia, wynagradzają liczne nawrócenia na wiarę katolicką, zwłaszcza pomiędzy kobietami, dla których Misyonarze nic prawie uczynić nie mogą.

Teheran. Dom „Najsłodszego Serca Jezusowego“: 6 Siostr, zakład dla osieroconych dziewcząt w liczbie 40; szkoła dla chłopców i dziewcząt, pracownia, mały szpital dla Europejczyków i drugi dla krajowców.

Wszystkie te dzieła funkcyonują z powodzeniem, które byłoby jeszcze większe, gdyby dochody, któremi siostry rozporządzają były znaczniejsze. Ośmielam się tu przypomnieć, że misya perska nie otrzymuje w ogóle

żadnego innego wsparcia prócz zapomogi wyznaczonej przez Propagandę.

Teheran. Dom „*Porte Casbine*"; 5 sióstr; szkoła dla dziewcząt i chłopców, pracownia, schronisko. Dom ten został przeważnie dla Armeńczyków zbudowany, leży w dzielnicy przez nich zamieszkałej i działa wśród nich bardzo wiele dobrego. Armeńczycy schizmatyccy są bogaci, wybudowali szkoły i o ile możności jak najhojniej wspomagają swych rodaków; wielkie zatem groziło niebezpieczeństwo tamtejszym katolikom wogóle bardzo ubogim. Prócz schizmatyków, protestanci czynią niesłychane wysiłki, by grabić do siebie Armeńczyków; Siostry nasze dzielnie walczą; potrzebują bardzo zachęty; zasiłki im posyłane, są bez porównania za małe wobec bogactwa ich przeciwników, lecz przecież Bóg je wspomaga w ich ubóstwie. Starają się one utrzymać przy wierze św. katolików armeńskich i co rok cieszą się zdobyczami z pośród schizmatyków.

Ks. Piotr Hyacynt Śliwicki

Wizytator XX. Misyonarzy prowincyi Warszawskiej.
(1705—1774).

Wiek XVIII nazywają często wiekiem przewrotu pojęć umysłowych. I rzeczywiście przewrót wielki w tym wieku nastąpił w pojęciach ludzkich, a najwięcej się uwydatnił w naszym narodzie. W wieku XVII rzucili się Polacy ku praktykom religijnym, a nie zawsze dobrych mając przewodników, pozory pobożności wzięli często za pobożność samą. Klasztory się zapełniły i rozmnożyły tak, że do 600 liczą ich na owe czasy w Polsce [1]). Ale jaka była pobożność społeczeństwa, taka

[1]) Smoleński: „Przewrót umysłowy w Polsce" str. 21.

i w klasztorach. Były często praktyki bez ducha, brak bowiem należytego wykształcenia, albo wykształcenie spaczone bardzo takiej pobożności sprzyjało. Na takie społeczeństwo i na takie Zgromadzenia uderzył silny prąd filozofii postępowej XVIII w. z Francyi i z Niemiec. Przyjąć z nowości co dobre, aby poziom umysłowy podnieść, odrzucić zaś to, co było zgubne, to rzecz niezmiernie była trudna. Wielu tego nie zdołało rozróżnić a przez to siebie i drugich na zgubę narazili. Podobne jednak niebezpieczeństwo groziło w większej lub mniejszej mierze Zgromadzeniom wszędzie, ale u nas nadto jeszcze inna wielka była trudność. Tu bowiem w tak ciężkich już skądinąd czasach dawały się słyszeć głosy, że ojczyzna tonie, tamci w taki, inni w inny sposób ratować ją radzili, a tymczasem najwięcej z ratujących pod wodę ją pchało. Zamęt był wielki, nie dziw, że czasem statek zakonny lub Zgromadzenia jakiego na mieliźnie stanął. „Usunąć więc je", wołali u nas ci, co głosili, że Ojczyznę chcą ratować. Za Stanisława Augusta domagano się dosyć powszechnie zniesienia zakonów w Polsce, a Nuncyusz papieski Durini z oburzeniem i boleścią do Rzymu donosi, iż sam król powiedział do niego, że szkodę tylko Polsce przynoszą zakony, trzeba się więc ich pozbyć, a wystarczą nam Misyonarze i Pijarzy a w ostatecznym razie jeszcze Jezuici [1]). Przeciwko Misyonarzom żaden się głos nie podniósł, widać że nie stali na mieliźnie. Owszem w tym wieku Misyonarze w Polsce żyją całą pełnią życia swego — a pod koniec ciężkich tych czasów stają na najwyższym prawie szczycie rozwoju swojego w Polsce. W ósmym dziesiątku tego stulecia prowincya polska Zgromadzenia miała 39 do-

[1]) Theiner: „Pontificat Clem. XIV", 1. 434.

mów, przy których było 20 seminaryów, 33 parafij, 4 seminarya interna, w r. 1777 w samej Warszawie w domu głównym prowincyi było 50 kleryków studentów, w r. 1780 seminarzystów ze studentami było w tym domu 90, a w r. 1788 prowincya cała liczyła300 Misyonarzy[1]). A że byli to Misyonarze, co nie tylko liczbą swoją wielką chlubić się mogli, świadczą listy cyrkularne przełożonych generalnych jak X. Jacquier z r. 1775, dzieła, które rozwijali i same skutki ich pracy.

Ale bo też postawił Bóg w r. 1739 u steru tego Zgromadzenia Wizytatora niepospolitego, który ten ster przez 35 lat (1739—1774) silną ręką dzierżył, Wizytatora, o którym nie wahają się pisać ci, co czasy te w historyi badali: „Był to człowiek bardzo uczony, bo z pod jego ręki wyszło wszystko, co tylko kiedykolwiek zakon (Misyonarze) miał świetnego, nawet sławny kaznodzieja swego czasu i literat, miał wiele zachowania u panów i ogromny wpływ naokoło siebie wywierał, lubo nie widoczny, działając zawsze niepostrzeżenie. Spowiednik i doradca dwóch królów, pomocnik Konarskiego, wszystko mógł, wszystko robił, co chciał i w kościele i w kraju“ [2]). A za granicą pisano o nim współcześnie: „homme d'une prudence consommée et d'une expérience reconnue merite la reconnaissance publique“ [3]). Uczony zaś Janocki, co go znał osobiście pisze o nim: magnus sane homo, vel potius summus et singularis vir, cum civibus omnibus, tum ipsis Regni Proceribus mirifice carus“ [4]). Barto-

[1]) „Memoires de la Congregation“, 1, str. 429.

[2]) Encyklop. pow. Orgelbr. Artykuł o Śliwickim pióra widocznie Bartoszewicza.

[3]) Nouvelle Biblioteque Germanique. Amsterdam 1748, t. IV, p. 218—219.

[4]) Polonia Litterata nostri temporis Vratislaviae 1750.

szewicz chce go nawet wyżej od wielkiego postawić Konarskiego. Nie zdziwi więc może czytelników naszych, że ich z X. Śliwickiego postacią zapoznać chcemy. Musimy niestety wyznać zaraz na wstępie, że nie tyle o nim powiedzieć będziemy mogli, ilebyśmy pragnęli. Źródła bowiem są niedostateczne. Biblioteka i archiwum domu warszawskiego, skądby najwięcej się dowiedzieć o nim można, brutalne ręce zaborców rozrzuciły, albo schowały tam, dokąd sięgnąć jest niepodobna, a i czasy, w których on żył nie są jeszcze dostatecznie przez historyków zbadane. Tem, na co nas stać, podzielimy się z czytelnikami, a i z tego dobroć Boga w tym Wizytatorze Zgromadzenia okazaną wielbić będziemy mogli.

X. Piotr Hyacynt Śliwicki pochodził ze starej szlacheckiej a bardzo rozgałęzionej rodziny, która pod nazwą Łysakowskich herbu Lubicz jeszcze za księcia Konrada mazowieckiego wielkie miała znaczenie na Mazowszu. Jakób Łysakowski podkomorzy Łomżyński „Krzyżaków często i mężnie poraził“ [1]). Jedna gałąź tej familii osiadła w Prusiech królewskich i od dóbr swoich Śliwice przyjęła nazwę Śliwickich. Dziadek X. Śliwickiego Jan został w r. 1685 na sejmie zaliczony w liczbę szlachty koronnej a Marcin Zamojski podskarbi w. kor. przyjął go z całą jego familią do swego herbu Jelita. Ojciec jego znowu Jan był cześnikiem chełmskim i pisarzem skarbu koronnego [2]). Urząd cześnika ziemskiego, a takim był Jan Śliwicki, nie nakładał żadnych obowiązków, tylko był tytułem honorowym (chyba czasem cześnik ziemski zastąpił cześnika wielkiego, czyli nadwornego, gdy ten z kró-

[1]) Niesiecki Herbarz VI—VIII.

[2]) Ibid. t. VIII.

lem do jakiej ziemi nie pojechał) nie wymagał też wykształcenia określonego jak zresztą największa część urzędów w Polsce, nie możemy więc stąd sądzić o wykształceniu ojca X. Śliwickiego, tylko o położeniu jego społecznem. Ale za to pisarz skarbowy (jakbyśmy dzisiaj powiedzieli: urzędnik podatkowy) musiał mieć pewne choć też nieściśle określone wykształcenie kancelaryjne. Jak więc widzimy należał ojciec naszego Wizytatora Śliwickiego do szlachty nie ubogiej i urzędy dosyć zaszczytne piastował. Koligacye też miał nie do pogardzenia, kiedy córkę najstarszą Annę wydał za podkomorzego królewskiego Suchodolskiego; synowiec jego Andrzej z brata młodszego Macieja miał za żonę sędziankę ziemską Inowłocławską, który przez syna swego Wojciecha, ożenionego później z chorążanką sieradzką skoligacił się z rodziną Walewskich i Radoszewskich, a córkę wydał za podsędka Sokołowskiego. Należał więc Jan Śliwicki do świata mniej więcej takiego, z jakim się spotykamy w naszym „Panu Tadeuszu".

Syn jego Piotr Hyacynt urodził się 3 lipca 1705 r. jak mówią jednozgodnie zapiski. Trudno jest dojść, jakie było miejsce jego urodzenia. To, że ojciec był cześnikiem chełmskim, kazałoby się domyślać, że mieli swój majątek w ziemi chełmskiej i tam zamieszkiwali, ale zapiski wiarogodne [1]) mówią jednozgodnie, że X. Śliwicki się urodził w dyecezyi poznańskiej, do której Chełm oczywista nie należał. Możnaby przypuszczać, że się urodził w Warszawie, gdzie może mieszkał jego ojciec pan pisarz skarbu koronnego. Ze synów był to jedynak, bo oprócz niego tylko, zdaje się, córkami

---

[1]) Jak katalog członków Zgromadzenia spisany za czasów wizytatorstwa X. Śliwickiego, który mamy pod ręką.

pięcioma obdarzył Bóg pana Cześnika. Nadzieja więc domu cała była w Piotrze, to też otrzymał staranne i prawdziwie pańskie wychowanie. Miłość rodzicielska musiała być względem jedynaka syna wielka, a staranność i pieczołowitość tem większa, że było to dziecko wątłe i słabowite, a pokazywało nadzwyczajne zdolności. Zdrowie było tak słabe, że nauki swoje pierwsze przerywać musiał, aby słabej nici życia w ciągłem natężeniu umysłowem nie przerwać, pluł krwią, groziły mu zdaje się suchoty. Ale mimo tych przeszkód wielkich wcześnie skończył nauki, którebyśmy dziś nazwali gimnazyalnemi. Uczęszczał do szkół publicznych ale do jakich, powiedzieć nie umiemy. Wielka jego biegłość w językach włoskim, francuskim i niemieckim kazałaby przypuszczać, że może u Teatynów, gdzie się kształciły panięta w ich szlacheckim konwikcie. Zapiski pośmierte mówią o nim, że języków tych przy nadzwyczajnych zdolnościach nie w szkole, ale sam prywatnie się nauczył. Nie przemawia to bardzo do naszego przekonania, bo trudno, aby prywatnie bez używania tych języków tak się mógł w nich wykształcić, żeby jako młody kapłan, kazania mógł w nich miewać. Znajomość zwłaszcza języka włoskiego przemawia za nauką u Teatynów. Francuskiego bowiem łatwiej się mógł nauczyć przez konwersacyą w Zgromadzeniu z Francuzami, których tam było dużo. Co do Włochów, zdaje się, że ich nie było w Warszawie u Misyonarzy, kiedy umarł staruszek wizytator Fabri. Pijarskie szkoły wtedy jeszcze wcale się ponad nizki niestety poziom szkół nie wydźwignęły. Konarski dopiero później wprowadził inny system a z nim i języki nowożytne. W jezuickich zaś szkołach panował dawny smutny zwyczaj tracenia czasu na uczeniu się formułek łacińskich i zapasach dyalektycznych.

O języku francuskim i włoskim słychać tam nie było. A języków, zwłaszcza włoskiego uczyli przedewszystkiem Teatyni-Włosi w swych szkołach. Stanowczo jednak nie możemy twierdzić, gdzie te nauki pobierał; dość, że ukończył t. zw. Retorykę t. j. najwyższą klasę w piętnastym roku życia. Rodzice zamyślają teraz o przysposobieniu go do piastowania urzędów w Polsce i dlatego chcą go oddać do najwyższego Trybunału dla obeznania się z prawami i całą procedurą sądową. Pragnął może p. Cześnik, aby jedynak odziedziczywszy po nim majątek mógł służyć Ojczyźnie, czy to jako deputat trybunalski, czy też jako sędzia ziemski w swej okolicy. Chcieli więc rodzice, aby poszedł, jak się dzisiaj mówi, na prawo. Ale syn oświadczył, że pragnie być księdzem. Choć to musiało rodzicom psuć ich rachuby nie widać jednak, aby się bardzo opierali. Pobożni oni być musieli i pobożnie też wychowywali dzieci, bo większą część Bóg do swej służby powołał, a dwie zaledwie córki wyszedłszy za mąż, w świecie pozostały. Elżbieta, poświęciła się na służbę Bogu w klasztorze PP. Wizytek w Warszawie, Agnieszka zaś i Maryanna w Górze pod Warszawą w gronie córek św. Dominika, umartwione wiodły życie. Widocznie nie skąpili rodzice dla Boga; nie opierali się też synowi, gdy do stanu kapłańskiego się przygotować pragnął. Za pozwoleniem więc rodziców wstąpił do seminaryum externum u św. Krzyża w Warszawie w 16 roku życia. Seminaryum externum t. j. kleryków świeckich było w tym samym domu co i seminaryum wewnętrzne kleryków Zgromadzenia, jedni i drudzy klerycy często się stykali ze sobą, a młodzi kandydaci do pasterskiego życia na parafiach, dobrze się w seminaryum mogli przypatrzyć życiu Misyonarzy. Zdolny i wrażliwy Śliwicki przypatrywał się też za-

pewne uważnie ówczesnym synom św. Wincentego. A wiedział zapewne, że wielki biskup Tarło, którego popioły przed 4-ma laty objęły groby podziemne kościoła św. Krzyża, u Misyonarzy swoje wychowanie duchowne otrzymał i przez 25 lat jako wizytator temu Zgromadzeniu w Polsce przewodził. A jeszcze jako chłopczyk słyszał jak w domu z podziwieniem opowiadali o świętości i gorliwości Misyonarza-Biskupa. Teraz, kiedy jako kleryk popatrzył w kościele na pomnik Tarły, przypomniało mu się to wszystko. Widział również, że wizytator Fabri, który teraz na czele Zgromadzenia stoi, to święty, bo choć staruszek już blizko 70-letni, pracuje z nadzwyczajną gorliwością a łzy leje kiedy o Bogu mówi, tak się miłością Jego zapala, a taki umartwiony jak tylko święci bywali, a łagodny i słodki, że aż rozkosz zbliżyć się do niego. Słuchał, zdaje się wykładów Baudouina, który przybywszy tutaj przed 3-ma laty, uczył dalej teologii. Gorące miał serce ten młody ksiądz, co potem takich cudów miłosierdzia dokazał, a w tak czułych i tak płomiennych słowach je wylewał, że aż z góry upominać go musiano, że ma „mleko i miód na ustach" i większy radzić chłód i umiarkowanie [1]). Był tam wtedy u św. Krzyża i staruszek X. Jan O'Fogerti, Irlandczyk, przysłany do Warszawy zaraz w pierwszych czasach istnienia prowincyi polskiej (około r. 1670), który podziwem był dla wszystkich przez swą niezmordowaną gorliwość, nadzwyczajną pobożność i cześć ku Najśw. Sakramentowi, a teraz już chory przez trzy lata, wzo-

---

[1]) List X. Bonnet, przeł. gener. pisany do Baudouin'a z r. mniej więcej 1719—20 (data niepewna). Cytowany w Bartoszewicza Historyi Szpitala Dzieciątka Jezus str. 8.

rem był najwznioślejszym cierpliwości († 1723). Księża więc budowali i pociągali do siebie. Bracia nawet dziwną gorliwością zwracali na siebie uwagę wszystkich.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRONIKA.

Kraków. Jak corocznie, tak i w tym roku podejmują Misyonarze na Kleparzu, przy pomocy innych domów Krakowa, pracę nad ludem. Rekollekcye zaczęły się 11 listopada. Była to serya kobiet, a przybyła ich ze Szląska i Galicyi znaczna liczba, bo 500 przeszło. Następne święte ćwiczenia dla panien odbyły się dopiero od 9—13 grudnia. Przerwy tej przyczyną była misya odprawiona w Tarnowie.

Austrya. Siostry w Schwarzach, w dyecezyi Salzburskiej, obchodziły 20 sierpnia 1894 r. 50 lat swego tam istnienia. Dom, w którym mieszkają, wraz z kościołem Niepok. Poczęcia Najśw. Maryi Panny należał pierwotnie do Benedyktynów. Jak wiele innych, za cesarza Józefa II., tak i klasztor w Schwarzach został zniesiony, a budynki klasztorne opustoszałe, zaczęły zamieniać się w ruiny. Dopiero 1844 r. wykupił książę biskup Fryderyk VI. kardynał Schwarzenberg klasztor i 20 sierpnia Siostry Miłosierdzia w nim osadził. Po 50 latach pracy, chciały Siostry przez uroczystość kościelną okazać Bogu wdzięczność za otrzymane łaski, i aby godnie uczcić tę pamiątkę, postarały się o odnowienie kościoła, do czego i Najjaśniejszy Pan cesarz Franciszek Józef znaczną kwotą się przyczynił. Tuż przed 20 sierpnia Siostry odprawiły nowennę. Obchód zaszczycił swą obecnością książę

biskup Jan Haller, a wzięły w nim udział przez deputacye wszystkie 67 domów Sióstr Miłosierdzia dyecezyi Salzburskiej i tłumy ludu. Książę biskup celebrował uroczystą sumę, a po niej zaintonował dziękczynne „Te Deum“, któremu wtórowały dzwony i huk dział. Po nabożeństwie udzielił wszystkim Siostrom audyencyi, przyczem w serdecznych do nich przemówił słowach, zachęcając do wdzięczności Bogu i do dalszej w Imię Boże skutecznej pracy. Słowa jego pozostaną na zawsze Siostrom w pamięci. — Aby ludność w Schwarzach miała pożytek z tej pamiątki, urządzili XX. Misyonarze misyę od dnia 28 października 1894 począwszy.

Portugalia. W roku 1894 założonym został dom XX. Misyonarzy w Arnarante, miasteczku położonem w pięknej i romantycznej okolicy północnej Portugalii. W kwietniu 1895 wykończono wspaniały gmach, przeznaczony na kollegium św. Gustawa. Poświęcenie domu i otwarcie kollegium dokonanem zostało w dniu 4 czerwca. Nawet liberalne, a więc nie podejrzane o przychylność dla katolicyzmu, dzienniki lisbońskie wyrażają się z uznaniem o pracy Misyonarzy i z radością witają powstanie nowego ich domu w Portugalii; domu, w którym młodzież znajdzie naukę i religijne wychowanie. W uroczystości wzięło także udział nasze kollegium Santa-Quiteria z Felgueras, które przybyło z muzyką i sztandarem. Po nabożeństwie odbył się wieczorek muzyczno-deklamacyjny, na który złożyły się produkcye uczniów obu kollegiów.

Wyspy Kanaryjskie. Na Wielkiej Kanaryi, jednej z 13 wysp tego archipelagu, były już od 60 lat Siostry Miłosierdzia. Ciągle błagały one Boga, aby posłał im do pomocy Misyonarzy. Wysłuchał też Bóg ich modlitwy. Znalazł się bowiem fundator w osobie

X. Delgadoy Vera, kanonika kapituły w Las Palma na Wielkiej Kanaryi. Wybudowawszy dom i zaopatrzywszy we wszystkie potrzeby, zwrócił się do Wizytatora hiszpańskiej prowincyi Zgromadzenia z prośbą o przysłanie Misyonarzy. Propozycya została z wdzięcznością przyjętą, a Wizytator osobiście dom nowy otworzył. Wraz z 5 konfratrami wsiadł w Cadixie na okręt 7 listopada 1894 r., a po 54-godzinnej podróży stanęła mała gromadka w Le Luz, porcie miasta Las Palmas. Duchowieństwo i lud zgotowali im jak najuroczystsze przyjęcie. Ludność archipelagu bardzo pobożna, ma zwłaszcza, jak wogóle Hiszpanie, szczególne do Matki Boskiej nabożeństwo, a można powiedzieć, że nie ma ani jednej rodziny, czy w ubogiej chatce, czy w pałacu, którąby co wieczór nie odmawiała różańca. Urządziwszy się w nowym domu, zaraz zabrali się Misyonarze do pracy. Niebawem kierowali za dwoma zawodami rekollekcyami kapłanów. Przedewszystkiem jednak chcieli się wywdzięczyć swemu dobrodziejowi. To też 12 lutego 1895 r. rozpoczęli 15-dniową misyę w miejscu jego rodzinnem w Hampuyente, na wyspie Fuerteventura. Mały kościółek nie mógł objąć tłumów ludzi, a praca Misyonarzy zyskała powszechne uznanie.

Chiny. Z Kiutu donoszą, że w ciągu r. 1894 wiele ucierpieć trzeba było od miejscowych mandarynów. Wielu chrześcian pod błahymi pozorami uwięziono i bito tak, że krew się lała jednemu z nich, trzymanemu przez 8 miesięcy w więzieniu; wymierzono przez ten czas 2000 kijów i 20 uderzeń pałeczkami po wargach za to, że sprzedał Misyonarzom w Lu-ki dom, w którym urządzili Oratoryum. Chciano go zmusić, aby od nich dom odkupił, a tem samem zmusił ich do opuszczenia tego posterunku. — Szczę-

śliwiej wiodło się Misyonarzom w prefekturze King-czang-fu, gdzie zakupiono mały domek i urządzono kaplicę. Liczba chrześcian jednak nie powiększa się, neofitów jest mało, a starzy wymierają przeważnie nie pozostawiając potomstwa. — W Yao-czeu założyły Siostry Miłosierdzia w dzień Przeniesienia Relikwij św. Wincentego nowy dom. Ostateczne jednak otwarcie miało nastąpić dopiero we wrześniu 1895 r. Gdy pokazał się ich kornet na ulicach, tłumy ciekawych zbiegały się około nich; nie było przecież zamieszania, dano bowiem Siostrom eskortę wojskową, a ta utrzymywała porządek. Aby się dać poznać, zaczęły na drugi dzień odwiedzać chorych, a wnet znoszono im ich ze wszystkich stron. Wiele to już znaczy, gdy Chińczycy Sióstr się nie boją. W Yao-czeu owszem ludność dla nich dobrze usposobiona. Raz po raz było można słyszeć: „tso hao seu", t. z. „one czynią miłosierdzie".

Stany Zjednoczone północnej Ameryki. W St. Louis (Missuri), 25 czerwca 1895 r. dokonał arcybiskup Kain uroczystego poświęcenia i otwarcia schroniska dla obłąkanych, wystawionego ze składek prywatnych. Schronisko to, pod wezwaniem św. Wincentego, wybudowane zostało według planów i pod czujnem okiem Siostry Magdaleny, przełożonej dawnego schroniska, które okazało się za szczupłem. Podczas gdy stare, założone w r. 1858 pomieścić mogło tylko 200, to nowe może pomieścić 1000 chorych. Zbudowane jest we wspaniałem położeniu, za miastem na wzgórku, wśród pól urodzajnych i lasów.

Argentyna. Ks. biskup Crouzet wysłany na wizytacyę prowincyi argentyńskiej Zgromadzenia, donosi, iż ks. biskup Solève z Urugnayu, w parafii Union kościół poświęcił czci Najśw. P. Maryi od cudownego

medalika. Byłby to więc pierwszy kościół pod nowego świętą wezwaniem. Zbierania składek na ten cel podjęły się dzieci Maryi, które tu wogóle robią wiele dobrego, a nawet utrzymują jedynaście szkół normalnych dla biednych dzieci.

NEKROLOGIA.

Ś. p. X. Filip Gołaszewski.

Zamkło się pośród nas życie, na które przyzwyczailiśmy się przez długie lata patrzeć jako na uosobienie zdrowia i czerstwości nie ulegającej, jak rzadko, wpływom wieku; a włodarz tego życia, nasz czcigodny konfrater X. Filip Gołaszewski, odszedł, aby bez zarumienienia stanąć przed gospodarzem winnicy, w której pilnie i wytrwale pracował. Sześćdziesięcioletni okres pracy zakreśliła mu dobroć Boża od chwili jego przybycia do domu stradomskiego, i niezwłocznie w ostatnim dniu tego okresu, w ostatnich chwilach swej przytomności przygotowywał się pociechami i pomocami wiary w drogę wieczności, a już z rana dnia następnego o godz. dziewiątej spokojnie i pogodnie, jak żył, oddał swoją duszę Zbawicielowi. Widząc go umierającego w tak dziwnie złożonych okolicznościach, gdyśmy przy jego łożu odmawiali koronkę, którą on w ostatniej chorobie po ukończeniu brewiarza trzymał prawie nieustannie w rękach, stosowaliśmy do niego mimowolnie nasuwające się słowa Apostoła: *Wiem, komum zaufał, i pewienem, iż mocen jest zwierzonej rzeczy mojej strzedz do onego dnia*



Ś. p. X. Filip Gołaszewski (* 1808 † 1895).

Istotnie, ten kapłan w zadaniu swego życia zaufał doskonale Bogu, gdy wstępował do Zgromadzenia w czasach jego świetności, wzięcia i znaczenia a później pozostał mu wiernym wśród niezliczonych zawichrzeń, przejść i pokus, jakie przeplatały obficie długie pasmo jego życia. Przeszłość przerwana brutalnie, pozostawiła go na straży jedynego domu Zgromadzenia, jaki się uchował, a Opatrzność powierzyła mu w nim rolę stawiania nieustannego oporu raczej, niż działania — oporu wszystkiemu co tylko z zewnątrz i z wewnątrz mogło wywierać nacisk na Misyonarza, a później przełożonego domu, aby go wyprowadzić z równowagi, i co utrudniało, aby pozostać takim, jakim się być nauczył. A on chociaż w niezwykłej prostocie swej myśli zapewne nigdy nie zdał sobie sprawy z tego zadania, przecież mimowiednie wywiązał się z niego dobrze, — bez przesady możemy powiedzieć, wielkiemi cnotami swojemi, które w innych czasach i warunkach byłyby z jego osoby roztoczyły szerokiem kołem na dom i Zgromadzenie wdzięczną woń przykładów w tych, w których on żył, zaledwie wystarczyć mogły, aby go samego zachować tak pobożnym, niewinnym w życiu, wiernym w powołaniu, przywiązanym do Zgromadzenia, jakimeśmy go widzieli jeszcze w ostatnich latach jego życia. To też przyszłość, spodziewamy się, pozostanie mu wdzięczną i w wdzięcznej pamięci zachowa jego imię i cnót przykłady.

Urodził się ś. p. X. Gołaszewski w Warszawie, w pobliżu św. Krzyża, w własnym domu rodziców, którzy byli do tyla zamożni, aby dać swoim dzieciom odpowiednie wykształcenie. Brat jego młodszy, Kazimierz, został księdzem, jedna z sióstr wstąpiła do Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia, a on sam w dzie-

więtnastym roku życia zaliczył się między synów św. Wincentego. Seminaryum i pierwsze studya odbył w domu warszawskim, kończył je zaś w Tykccinie. W szematyzmie archidyecezyi warszawskiej znajdujemy go jeszcze zapisanego na rok 1830, być może więc, że i czas powstania tutaj przepędził, w każdym razie nie inaczej, jak w duchu swego powołania, zgodnie z całem Zgromadzeniem, w imieniu którego odpowiadał narodowemu rządowi X. Rzymski, ówczesny wizytator: „Nie możemy z zasady brać w wypadkach politycznych innego udziału, jak modlić się za naszą ojczyznę, aby ją Bóg błogosławił".

Znać było po nim, że przeszedł przez szkołę, w której uczyli kochać Zgromadzenie, zapierać się siebie samego i walczyć z miłością własną. Kto się zbliżał częściej do tego konfratra, pamięta, że osoba jego własna w zetknięciu z nim gdzieś zanikała zupełnie, nie potrzebowałeś się bać, aby ją urazić; w potrzebach osobistych, w posługach, których nie on, ale choroba wymagała po 62 latach pracy w Zgromadzeniu, był tak skromny, tak nieomal lękliwy, wdzięczny za rzecz najmniejszą, że trudno to wyrazić dostatecznie tym, co tego nie doświadczyli. Konfratrzy, którym przypadło w ostatniej chorobie oddać mu niejaką przysługę, mogą wyznać, że byli niejednokrotnie zażenowani tą wdzięcznością. Zdawało mu się, że jest na łasce wszystkich, nie znał żadnego tytułu, dla któregoby się mógł pewniej i śmielej czegoś domagać. Zapominając się w ostatniej chorobie coraz więcej, często potrzebował, aby mu udzielić niektórych wskazówek co do brewiarza, wtedy to przy powitaniu i pożegnaniu zawsze to samo powtarzał: „Nie gniewajcie się też, nie gniewajcie na mnie, bo ja już coraz bardziej pamięć tracę". Starość tak

cicha i spokojna, wymogi tak skromne, były nagrodą tej szkoły, którą przechodził w młodości. Bo też nie brakło mu wzorów, na których uczył się zaprzeć samego siebie. Pomijając inne, patrzał na trzy wielkie postacie godnych synów św. Wincentego w osobie trzech szybko po sobie następujących wizytatorów prowincyi warszawskiej: X. Szymonowicza, X. Rzymskiego i X. Gorzkiewicza. Pierwszy z nich powszechnie poważany w całem Królestwie polskiem, po dwakroć odmawiał przyjęcia arcybiskupstwa warszawskiego, a gdy mu dano zrozumieć, że jest sposób, aby go zmusić, opłakując następstwa tego, wpadł w chorobę, która zakończyła przedwcześnie jego życie, liczące dopiero lat pięćdziesiąt cztery. W atmosferze, jaką ten wypadek stworzył w domu warszawskim, ś. p. X. Gołaszewski wstępował do Zgromadzenia, w parę miesięcy po śmierci X. Szymonowicza. Patrzał następnie na przykłady najuczeńszego i najpobożniejszego w swoim czasie kapłana, X. Rzymskiego następcę w wizytatorstwie po Szymonowiczu. Wspominają o nim zapiski, że gdy go X. wizytator Jakubowski wysyłał na profesora do Poznania, zapytał X. Rzymski: „kiedy mam jechać?“ „Jak najprędzej, chociażby dziś“, brzmiała odpowiedź. „Dobrze, o której godzinie?“ „W południe, spiesz się więc, aby pożegnać znajomych i krewnych“. „Nie ma trudności co do tego, X. Wizytatorze, wszystkich mam przy sobie“. „Jak to, nie masz tu nikogo ze znajomych?“ „Nie mam ani czasu, ani potrzeby znajomości utrzymywać“. „Można ci tylko powinszować, że jesteś tak zdolny do natychmiastowego posłuszeństwa“.

Na takich przykładach wyrabiał swoje cnoty ś. p. X. Gołaszewski. Wyświęcony 21 października 1832 r., pierwsze trzy lata przepędził w Tykocinie,

gdzie Zgromadzenie zarządzało parafią i seminaryum dyecezyalnem. W r. 1835 wysłany został do Krakowa na profesora filozofii i historyi kościelnej do domu stradomskiego, który po różnych przejściach i osamotnieniu, należał znowu do prowincyi warszawskiej. Był to rok bardzo smutny dla Krakowa. Pod naciskiem trzech rządów, dyecezya utraciła ukochanego pasterza, X. Skórkowskiego, a równocześnie i Zgromadzenie traciło w nim wielkiego przyjaciela. X. Biskup usuwając się do Opawy na wygnanie, uprosił sobie w Paryżu pozwolenie, aby mógł ze sobą zabrać na dni tułactwa swego przyjaciela X. Zajączkowskiego, konfratra z domu stradomskiego, który z kapitana wojsk polskich i uczestnika wojen napoleońskich, przedzierżgnął się w Misyonarza, i po oddaniu licznych przysług prowincyi polskiej w Rzymie i w Paryżu, osiadł na Stradomiu i tu wykładał literaturę łacińską. W Opawie nie przestał pracować dla dobra Zgromadzenia aż do r. 1845, w którym spoczął, pochowany ze smutkiem przez swego dostojnego przyjaciela.

Niemal równocześnie z ś. p. X. Gołaszewskim przybyli do Krakowa ze zniesionego przez rząd domu w Gnieźnie, w czasie wakującej stolicy arcybiskupiej, X. Piotr Hersztowski, przełożony i X. Janowski. Obaj jeszcze w sile wieku, odmówili przyjęcia najlepszych posad w dyecezyi, ofiarowanych sobie przez arcybiskupa Dunina, i wierni swemu powołaniu, pracowali dalej na Stradomiu. Wdzięczna pamięć ich gorliwej pracy doszła do naszych czasów, przekazana nam przez ich uczniów, którzy, zwłaszcza ostatniemu, oddawali świadectwo wielkich zdolności i umiejętności w wykładach. X. Hersztowski, po trzech latach przełożeństwa, zakończył dni swej pielgrzymki, a ciało

jego spoczęło w podziemiach kościoła na Stradomiu. Obok tych dwóch konfratrów, zastał jeszcze ś. p. X. Gołaszewski w domu stradomskim X. Antoniego Dąbrowicza, wielkiej świątobliwości kapłana, wówczas dyrektora seminaryum, a później przełożonego aż do r. 1858 i X. Mioduszewskiego, z którym miał odtąd nieprzerwanie dzielić losy domu stradomskiego. Losy te nie były do pozazdroszczenia. Od chwili, kiedy po powstaniu zaczęto w Petersburgu coraz uporczywiej myśleć o osłabieniu i zgnieceniu narodowości polskiej, walka zwróciła się przedewszystkiem przeciw katolicyzmowi, a w pierwszym rzędzie przeciw głównym jego warowniom, do jakich w Warszawie sprawozdania urzędowe zaliczały nieustannie, z chlubą naszych konfratrów, dom św. Krzyża. Odtąd, aż do r. 1864, wisiała nad nim nieustanna groźba kasacyi, przybierająca z dniem każdym coraz wyraźniejsze znamiona nieuniknionej konieczności. Musiały ustać liczne prace Zgromadzenia, przedewszystkiem misye, których ś. p. X. Gołaszewski nigdy nie widział i nie znał wcale. Wszystko to odnosiło się w tej samej nieomal mierze i do Krakowa. Rząd rosyjski zwracał baczne oko na Rzeczpospolitą, w której stałość nie wierzono i między swymi a jego wpływ okazał się najpełniej przy usunięciu ze stolicy biskupiej X. Skórkowskiego. To też w listach X. Biskupa i X. Zajączkowskiego z Opawy do Paryża, służących za środek porozumiewania się konfratrów warszawskich z domem macierzyńskim, napotykamy niejednokrotnie czynione uwagi, aby być oględnym i ostrożnym. „Położenie Misyonarzy, pisze dostojny opiekun Zgromadzenia, nietylko w tak zwanem Królestwie Polskiem, lecz i w Krakowie jest tego rodzaju, że czekają tylko na najmniejszy pretekst, aby ich usunąć. Roztropność

więc radzi używać wszelkich możliwych ostrożności, aby zachować przynajmniej szczątki tego Zgromadzenia ku odrodzeniu w przyszłości. W obecnym stanie Kościoła i naszej biednej ojczyzny, wiele trzeba wymówić miłością".

Z objęciem Krakowa przez rząd austryacki, nastały chwile pewniejsze i swobodniejsze, atoli niebawem przeważna część dyecezyi krakowskiej, położona w zaborze rosyjskim, została oddzielona i otrzymała osobnego Wikaryusza apostolskiego. Nasi konfratrzy ujrzeli się w następstwie przełożonymi zaledwie kilku kleryków, co gorsza, w tak uszczuplonych granicach dyecezyi, o świetnej niegdyś przeszłości, poczęło zwolna wszystko maleć, od zajęć, aż do osób. Zamętem politycznym i walkami religijnemi, których echa głośno się u nas odbijały, zajęte były wszystkie umysły, nie wyłączając kapłańskich.

W takich to czasach i warunkach niesprzyjających, przypadło ś. p. X. Gołaszewskiemu pozostawać przez okres sześćdziesięcioletni profesorem, dyrektorem i rektorem seminaryum dyecezyalnego, asystentem i przełożonym domu Zgromadzenia, nielicznego co do członków, ale nie wolnego od licznych trosk i kłopotów. Jakimże sam był wśród nich i pozostał aż do końca?

Ojcowie nasi idąc za przykładem św. Wincentego, kiedy robili notatki o zmarłych konfratrach, zamiast pisać o ich czynach i zajęciach, mówili przedewszystkiem o ich cnotach i cnót przykładach, przekazując je jako najdroższą po nich spuściznę. Była w tem wielka słuszność i mądrość chrześciańska, która oceniała człowieka według tego, co jest w nim najtrwalsze, najpiękniejsze przed Bogiem i zawsze niezmiennej wartości. Słuszna, abyśmy to zastosowali

gdy mówimy o tym, który wiekiem i powołaniem sięgał tak dawnej przeszłości, a który jeśli w czem zawinił, to chyba w tem jednem, że aż z przesadą strzegł wszystkiego, co mu tradycya przekazała, bez względu na jej wartość i pochodzenie.

Była najpierw w ś. p. X. Gołaszewskim niezwykła miłość i przywiązanie do Zgromadzenia. Całe życie otoczony przedewszystkiem kapłanami świeckimi różnych urzędów i godności, mało i nielicznie swoimi, wprowadzony w pośrodek zajęć i interesów dyecezyi przez urzędy duchowne, które piastował, pozostał Misyonarzem we wszystkich szczegółach życia codziennego, w uczuciach i obowiązkach niezmienionym, jakby wykutym z granitu synem św. Wincentego. Zawsze bez żółci i żalu, tem więcej w sprawach osobistych, albo wewnętrznych Zgromadzenia, nie był w stanie podnieść poza niem najmniejszego słowa skargi lub niezadowolenia. Za jedno biorąc swój dom ze Zgromadzeniem, bo w niem przebył nieomal całe życie, trudno się godził z myślą, że może, tem bardziej, że powinien jaki dom choćby odrobinę inaczej wyglądać, — to go nie potrafiło pociągnąć, raczej go odstręczało. Ztąd w pierwszej chwili pewna wstrzemięźliwość wobec nowo powstającego domu na Kleparzu. Przecież miłość Zgromadzenia wszystkie drażliwości usunęła aż do rzadkich i budujących przykładów. Widzieliśmy wszyscy, jak z największem wzruszeniem witał ze łzami powracającego w zdrowiu po nieszczęśliwym wypadku r. 1887, naszego najczcigodniejszego X. Wizytatora. Płakał z radości, dziękując najpierw Bogu za zdrowie, a potem X. Wizytatorowi, „że przygotował następców po nas starych“. W to uczucie miłości uderzył cios wielki, gdy ze strony władzy dyecezyalnej, z powodu nieświado-

mości rzeczywistego stanu rzeczy, usiłowano sądownie przeprowadzić dowód, że dom stradomski należy raczej do dyecezyi, niż do Zgromadzenia. Cierpiał z tego powodu wiele, ale właśnie jemu to, jakby za nagrodę swego przywiązania do Zgromadzenia, dał Bóg doczekać, że sprawa została raz na zawsze i stanowczo pomyślnie rozstrzygniętą.

Drugą cechą życia ś. p. X. Gołaszewskiego była pracowitość, którą użyto z wielką korzyścią zwyczajnych zresztą, jakie od Boga odebrał, talentów, na usługi Kościoła i wiernych. Pracowitość wyrabia się najczęściej pod nawałem zajęć i obowiązków, i szczęśliwy jest zaiste taki nawał, co uczy być pracowitym; w ś. p. X. Gołaszewskim przeciwnie wydawało się, że zamiłowanie pracy i zajęcia było mu jakoby naturalne i wrodzone. Zupełnie nie umiał być bezczynnym, albo zajmować się tem, co jest czcze i bezużyteczne. Z natury swego urzędu mając wiele znajomości, zwłaszcza między duchownymi, kochany i widziany wszędzie z radością, nie wszedł nigdy na drogę, na którą one tak łatwo prowadzą, odwiedzin dla rozrywki i przyjemności. Jeden tylko był sposób, którym można go było do siebie ściągnąć, właściwy jego pracowitości, a to z usługą kapłańską, ze sumą, z kazaniem, ze spowiedzią; takie zaproszenia zawsze mu się uśmiechały, a on im nie umiał odmawiać i nigdy się niemi nie czuł znużony. Byli w swoim czasie w dyecezyi krakowskiej dwaj duchowni pod tym względem niezwykle do siebie podobni, ś. p. X. Biskup Dunajewski i X. Gołaszewski, dla obu takie zajęcia stanowiły miłą zawsze rozrywkę. Jednakże nie wyczerpywała się niemi zdolność i miłość pracy tego czcigodnego konfratra. Drugim działem jego zajęć poza obowiązkami profesora i rektora seminaryum,

były czynności różnych urzędów duchownych, które włożyła na jego barki władza dyecezyalna już to w następstwie utartego zwyczaju, że kapłani domu stradomskiego zawsze je spełniali, już też wskutek jego biegłości w teologii moralnej i znanej pracowitości. Tak widzimy, że obok urzędów cenzora ksiąg treści religijnej, egzaminatora przystępujących do święceń, do aprobaty, do konkursu, komisarza biskupiego w nauce religii, został zaraz przy pierwszem urządzeniu sądu dyecezyalnego w sprawach małżeńskich zreorganizowanego wskutek konkordatu r. 1855, zamianowanym przez X. Gładyszewicza obrońcą tychże spraw. Słowem i rozumem stał na straży boskiej instytucyi małżeństwa, spełniając czynności tego urzędu, jak długo mu siły pozwoliły, przez lat z górą 33, a całe pliki papierów, brulionów i notatek znalezionych w jego mieszkaniu, świadczą, jak wiele żądały one od niego czasu i pracy. Z objęciem rządów dyecezyi przez ś. p. X. Dunajewskiego, spadł na niego jeszcze jeden, mówiący o zaufaniu, jakie biskup miał do tego kapłana, urząd rzeczywistego radcy konsystorza, do którego go powołał w pierwszym miesiącu swych rządów r. 1879.

A cóż powiemy o jego długoletniej pracy profesorskiej, pracy, na której wykształciło się nie jedno pokolenie kapłanów. Oto, jakie wśród nich samych krąży o niej wyobrażenie. „Jako profesor wielce doniosłego przedmiotu — pisze X. W. — ś. p. X. Gołaszewski zadawał sobie bardzo wiele pracy; to też na tem polu wiedzy teologicznej, a szczególniej w kazuistyce, przyszedł do niezwykłej biegłości. Ogólny wprawdzie kierunek, którego się trzymał w stosowaniu zasad moralnych, był trochę rygorystyczny, co się tem tłómaczy, że wychował się w szkole teolo-

gicznej XX. Misyonarzy, u których przeważał wpływ surowszych moralistów francuskich, jak Antoine'a, a zwłaszcza Colleta. Za podręcznik do wykładów, używał moralnej Andrzeja Pohla, który streścił i z wielką jasnością oddał myśli Colleta. Ś. p. X. Gołaszewski, jak liczni jego uczniowie poświadczają, uczył praktycznie, przystępnie, z ustawicznem uwzględnieniem potrzeb w konfesyonale, z tą przewodnią myślą, aby jak najlepszych wykształcić spowiedników, uważając słusznie roztropną i z duchem Kościoła zgodną administracyę Sakramentu Pokuty za jeden z najdonioślejszych, lecz i najtrudniejszych zadań dobrego kapłana".

Inną cnotą pięknej duszy ś. p. X. Gołaszewskiego była prawdziwa delikatność w rozmowie na wszystko, co się odnosiło do sławy bliźniego, aby o nikim źle nie mówić i nigdy nie wciągać w nią tego, co tej sławie mogło szkodzić. Z natury ciekawy, lubiał wiele słuchać i okazywał widoczne zadowolenie, kiedy mu opowiadano coś nowego. Można było wszystko wobec niego poruszyć, zwłaszcza kiedy się mówiło z zajęciem, ale nigdy sławy bliźniego, albo upadków i złych postępków kapłańskich. Wtedy jego szlachetne serce, noszące niezwykły wstręt do wszystkiego co złe, oraz prawdziwą miłość bliźniego, okazywało natychmiast niezadowolenie i niechęć. Jeden z konfratrów, często i poufale z nim rozmawiający, wyznaje, że chciał kilkakrotnie sprowadzić jego rozmowę na podobny wypadek, powszechnie znany, a mający w swoim czasie dużo rozgłosu. Widząc jednak, jak samo o nim wspomnienie dziwnie jakoś poważnie i milcząco nastrajało tego kapłana, nie śmiał dalej o tem mówić. W innych razach, kiedy z bieżących wypadków dochodziły również smutne do uszu

wiadomości i napomykało się o nich w rozmowie, powtarzał zwykle z widocznym, wolnym jednak od wszelkiego uniesienia, smutkiem, tylko te dwa słowa: Boże, Boże! Umiał też być w podobnych wypadkach stanowczym i bezwzględnym. Oto, co nam opowiadał jeden z jego najstarszych uczniów. „Przyszło nas kilku jednego roku w wilię św. Filipa, aby złożyć kochanemu rektorowi życzenia. Było to w pierwszych latach biskupstwa ks. Dunajewskiego. Siedzieliśmy w salce rekreacyjnej, rozmawiając o tem i o owem, jak się to często zdarzało, podziwialiśmy siły i głos X. rektora, licząc w najdłuższe lata jego życie, on się zaś uśmiechał i zaprzeczał napozór. Zwolna zeszła rozmowa na X. Biskupa, prowadzona w najlepszym tonie, gdy w tem X. K., znany ze swej oryginalności, zaczął nieco sarkastycznie wyrażać się o jego osobie. Ś. p. X. Gołaszewski spuścił głowę ze znanym nam dobrze wyrazem niezadowolenia. Byłoby się na tem skończyło, gdybyśmy byli umilkli, ale, że X. K. na zrobioną sobie uwagę nie chciał przyznać, że źle postąpił, wskutek czego przedłużyła się rozmowa, więc po małej chwilce X. Gołaszewski nie pożegnawszy się z nikim, wyszedł. Był to niezwykły postępek wobec znanej jego dobroci i wobec tego, żeśmy wszyscy przedstawiali wiek starszy. Nie pozostało więc jak iść go przeprosić do mieszkania".

Atoli nad wszystko jaśniała w życiu ś. p. X. Gołaszewskiego nadzwyczajna pobożność, — prawdziwie nadzwyczajna nietylko w objawach, ale i w źródle, z którego płynęła, bo towarzyszyły jej przymioty duszy, w których ona jak w bujnej roli szczególniej sobie lubuje i wspaniale wyrasta, — niewinność życia, czystość przedziwna sumienia, prostota myśli i postępowania. Życie jego, mówili najpoważniejsi kapłani

dyecezyi, tchnęło pewną anielskością, a z jego myśli i uczuć dojrzałych wiało coś dziecięcego. Modlitwie był z niezłomną gorliwością wiernym, nie ustępując w niczem przykładom z czasów św. Wincentego. Na medytacyi zawsze obecny, czytał sam modlitwy i klęczał całą godzinę. Najpełniejszy obraz jego pobożności przedstawił się w ostatnim roku życia, roku wielkich cierpień i doświadczeń od Boga. Im większe boleści uderzały w silny dotąd organizm i nieprzywykły do cierpień, tem większą dawał on im odporność niewymowną cierpliwością, którą czerpał z modlitwy i z podniosłego ducha pokuty, jakim wypełnione było jego serce. Nigdy nie słyszeliśmy najmniejszej skargi z jego ust, nigdy narzekania, często natomiast widzieliśmy znaki wielkiej pokory. Mówiąc nieraz, że strasznie cierpi, bił się w piersi, jakby na dowód, że przyjmuje te cierpienia z największą uległością za swoje grzechy. Myśl jego nie przestawała się modlić, usta poruszać w modlitwie, po skończonym brewiarzu brał do rąk koronkę, aby jej nie złożyć znowu aż do brewiarza. Kiedy mu X. rektor Sakowski zwracał uwagę, aby się nie męczył jego odmawianiem, bo wystarczy w zamian odmówić różaniec, odpowiedział ze zdziwieniem: „Cóż tam różaniec, to ja z dziewięć razy odmawiam na dzień“. Na stoliku przy łóżku musiały być do ostatniego dnia życia: krzyż, koronka, brewiarz, modlitwy Zgromadzenia i książka z medytacyami. To też wezwanie Pańskie zaskoczyło tego czujnego sługę Bożego przy świętym obowiązku modlitwy kościelnej. W przededniu śmierci zrana o godz. 10-ej choroba długo zwalczana, dała ostatni szturm, zatrzęsła nim silna febra, zaćmiło mu się w oczach, a on trzymając jeszcze brewiarz w rękach, prosił, aby mu zapalono świecę, bo

nic nie widzi. Światło ziemskie nie było już w stanie przedrzeć tych ciemności, ale miejmy nadzieję, że dziś innem już, wiekuistem światłem Bóg go otoczył, w którem prowadzi dalej życie jego chwały i jego miłości.

Takie cnoty i piękne przymioty duszy ś. p. X. Gołaszewskiego, nakazywały wszystkim szanować go i kochać. Odbierał też tego rzetelne dowody z wielu stron przy niejednej sposobności. Widzieliśmy poważnych urzędem i wiekiem kapłanów, przychodzących do niego kiedy go już choroba na łożu boleści złożyła, aby go uczynić powiernikiem swych sumień. Najpowszechniej objawiła się miłość jego synów duchownych w uroczystym dniu jubileuszu kapłańskiego r. 1883. Obok wielu innych, otoczyły wtedy czcigodnego Jubilata dwie wielkie postacie Kościoła polskiego w naszych czasach, X. Dunajewski i X. Golian, obaj wychowańcy seminaryum i uczniowie ś. p. X. Gołaszewskiego. Pierwszy jako pasterz dyecezyi zasiadł na tronie, a po skończonem nabożeństwie przed wszystkimi ukląkł, aby ucałować rękę swego dawnego dyrektora i profesora. Drugi złotoustą wymową podnosił znaczenie uroczystości. Duchowieństwo dyecezyi złożyło w darze „swemu ojcu“ piękny, bogaty kielich, a wydział teologiczny w wspaniałym adresie sławił jego cnoty i zasługi. Najgodniejsze przecież zapisania, że wśród wszystkich tych oznak czci i poważania, pokora i prostota tego kapłana jaśniała zawsze nie przyćmionym blaskiem, dając świadectwo potędze i żywotności tego ducha, którego tchnął w swoich synów najpokorniejszy z kapłanów — św. Wincenty.

Zmarli:

X. Jan Chrz. Bret, 59 lat życia, 35 lat powołania, zmarł 29 września w Kang-Go w Chinach.

X. Franciszek Falgéres, 56 lat życia, 35 lat powołania, zmarł 29 września w Vichy. — (Lyon).

X. Jan Nandin, 80 lat życia, 59 powołania, zmarł 2 październ. w Paryżu. — (Francya).

X. Jan Chrz. Głan, 68 lat życia, 48 powoł., zmarł 4 paźdz. w Rennes. — (Francya).

X. Filip Nereusz Gołaszewski, 87 lat życia, 68 powoł., zmarł 10 października w Krakowie.

Ursyciusz Cuena kleryk, 33 lat życia, 7 powołania, zmarł 16 paźdz. w Madrycie. — (Hiszpania).

Piotr Bannon brat, 61 lat życia, 14 powoł., zmarł 14 paźdz. w Germantown. — (Stany Zjednoczone.)

X. Jakób Habert, 70 lat życia, 34 powołania, zmarł 27 paźdz. w Laos. — (Pikardya).

Franciszek Gonner brat, 41 lat życia, 8 powoł., zmarł 27 paźdz. w Cebu. — (Filipiny.)

Pacyfik Ferrneci brat, 70 lat życia, 49 powoł., zmarł 2 listopada na Monte Citorio. — (Rzym).

X. Wawrzyniec Goffredi, 71 lat życia, 54 powoł., zmarł 19 listopada w Neapolu. — (Włochy).

Patrycy Lennon brat, 75 lat życia, 44 powoł., zmarł 26 listopada w Blackrock. — (Irlandya).

Siostra Aniela Żebrowska, zmarła w Przeworsku d. 30 listopada, wieku lat 71, powołania 46.

S. Franciszka Piaskowska, zmarła 30 listopada w Domu Centralnym, wieku lat 23, powołania 3 miesiące.

S. Bronisława Żulińska, zmarła 7 grudnia w Domu Centralnym, wieku lat $21^1/_2$, powołania 3.

R. i. P.

MANUALIK „DZIECI MARYI“

CZYLI

ZBIÓR PRZEPISÓW, RAD I MODLITW

TEGOŻ STOWARZYSZENIA.

Wydanie nowe z obrazkami, stron 700.

Cena egzemplarza nieoprawnego 80 cnt. (1 m. 50 f.), oprawne w cenach 1 złr. (2 m.), 1 złr. 20 ct. (2 m. 40 f.), 1 złr. 50 cnt. (2 m. 80 f.), 1 złr. 80 cnt. (3 m.), razem z portoryum.

Wydawnictwa Księży Misyonarzy
(Kraków, Kleparz 19).

Przewodnik grzeszników czyli nauka dla wszystkich stanów o zacności i pożytkach cnót i o drodze do nich wiodącej, przez WX. Ludwika z Grenady — wydanie Księży Misyonarzy. Cena egz. opr. loco **1 zlr. 60 cnt.** (3 marki).

Wiadomość o Najśw. Pannie w Lourdes. Prócz opisu znaczniejszych cudownych łask, jakich za użyciem wody z Lourdes pobożni wierni doznali, tudzież Nowenny do tejże cudownej N. Panny, dodano modlitwy i akty pobożne dla chorych i konających, tudzież pieśń i Litanię do tejże Najśw. Panny. Wydanie ozdobne, najnowsze z r. 1895. Cena broszury **20 cnt.** (40 fen.)

Narzędzia Męki Chrystusowej przez znakomitego kaznodzieję IMĆ. X Veit, przekład X. Chołoniewskiego, wydanie Księży Misyonarzy r. 1891. Dobre do czytań i nauk Pasyjnych. Cena **1 zlr. 25 cnt.** (2 marki 40 fen.).

Wiadomość o trzech szkaplerzach tj. **niebieskim czerwonym i czarnym,** z dołączeniem nabożeństwa do Najśw. Panny i do Męki Pańskiej. Cena broszury **10 cnt.** (20 fenigów).

Cuda Łaski Miłosierdzia Bożego oraz Nowenna za dusze w czyśćcu cierpiące. Cena egz. **15 cnt.** (30 fen.)

Wspomnienie o życiu i śmierci Bł. Jana Gabryela Perboyre, Misyonarza umęczonego w Chinach Cena **20 cnt.** (30 fen.).

O Naśladowaniu Jezusa Chrystusa Tomasza a Kempis — z dodatkiem licznych modlitw. Cena egz. nieopr. **60 cnt.** (1 markę), opr. **75 cnt.** (1 markę 30 fen.).

Roczniki Dzieła św. Dziecięctwa P. Jezusa, wychodzą co kwartał. Prenumerata wynosi rocznie **20 cnt.** (30 fen.).

Nowenna do św. Wincentego à Paulo. Cena **15 cnt.** (30 fen.).

Adoracye czyli 12 godzin przed Najśw. Sakramentem. Zbiór pięknych uwag, nauk i rozmyślań pobożnych o Najśw. Sakramencie z dodaniem procesyi na Boże Ciało, tudzież pieśni i hymnów o N. Sakr. Oprawne **50 cnt.** (1 marka).

Nabożeństwo Kościelne, czyli mszał rzymski po łacinie i po polsku na cały rok. Oprawa w szagryn **4 zlr. (7 m.).**

Wiadomość o Cudownym Medalu N. P. Broszur. **10 ct.** (20 f.)

Maksymy św. Wincentego 40 ct. (80 fen.).